

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień Dnia 10-go marca 1945r. Rok VII. Nr. 10

PO DEBACIE

TRZY POLSKIE DNI W PARLAMENCIE BRYTYJSKIM

Żołnierz polski, gdziekolwiek się znajduje, z dużą uwagą i w wielkim skupieniu słuchał głosów z Westminsteru, siedziby Izby Gmin i Izby Lordów, bo zdaje sobie sprawę z roli, jaką parlament brytyjski odgrywa w życiu publicznym tego kraju. Zmienne uczucia ogarniały Polaka, słuchającego tej dyskusji nad najistotniejszymi zagadnieniami Polski; toczyła się ona przez trzy dni ubiegłego tygodnia w obu Izbach. Obok uczucia zawodu, żalu, do głosu dochodziło też uczucie słusznej dumy z przynależności do Narodu, który zachował w tej wojnie postawę tak nieugiętą, że nawet krytycy i wrogowie oddają mu cześć, a równocześnie uczucie nadziei, pewności, że taki Naród, mimo takich lub innych złych losów, zginąć nie może.

Od pierwszego dnia debaty sprawa Polski zapanowała właściwie niepodzielnie. Prawie wszystkie przemówienia poświęcono wyłącznie lub w przeważnie zagadnieniom polskim. O innych sprawach poruszonych na konferencji krymskiej mówiono tylko ubocznie. Po raz pierwszy chyba w historii parlamentu brytyjskiego tyle czasu poświęcono państwu — zdawało by się — odległemu, mało znanemu, leżącemu poza obrębem bezpośrednich zainteresowań Imperium. A jednak sprawa polska była na ustach wszystkich posłów. „Interesy polskie i brytyjskie — mówił jeden z posłów — są w dużym stopniu te same. I nam i Polakom zależy na tym, ażeby jedno mocarstwo nie panowało nad Europą”.

Bardzo znaną była ta debata dla przemian, jakie przeszła Wielka Brytania i dla jej stosunku wobec zagadnień europejskich. Jeszcze parę lat temu była ona nie do pomyślenia. Dziś Wielka Brytania, chociażby tego czasem może nie chciała, musi się interesować całą Europą. Dlatego też i my związani jesteśmy z Wielką Brytanią.

DWIE KATEGORIE MÓWCÓW I GŁOS JEDNEGO Z NICH

Mówców zabierających głos w dyskusji można by podzielić na dwie kategorie, zależnie od dwóch różnych punktów widzenia, z których patrzą na sprawę. Jedni — dla których pewne idee, pewne pojęcia jak honor, prawo, sprawiedliwość mają swą wartość także w życiu publicznym, dla których słowa wolność i niepodległość mają określony i niewątpliwy sens; oni też wierzą, że małe narody powinny żyć swobodnie, a prawa t.zw. wielkich nie mogą być nieograniczone. Druga grupa mówców to ludzie, dla których ważniejsze jest nie to, co najlepsze, co sprawiedliwe, co słuszne, ale co praktycznie wykonalne. Ich hasłem jest: „Face the facts” /licz się z faktami/. Charakteryzuje ich też niczym niezamąconą wiarą w szczerość Rosji Sowieckiej, w dotrzymanie przez nią wszystkiego, co obiecała.

Posel Petherick, który wniósł poprawkę do rezolucji rządowej, krytykując postanowienia krymskie w stosunku do Polski, zabrał pierwszy głos w drugim dniu debaty. Cała Izba słuchała go w wielkim skupieniu. Stwierdził on, że Wielka Brytania weszła do wojny w obronie Polski przed napaścią Niemiec, a teraz Polska ma stracić połowę swych terytoriów. Wielka

Brytania walczyła dotąd, aby nie dopuścić, by traktaty stawały się świstkiem papieru. W Europie nie będzie pokoju, dopóki nie będzie uznana świętość umów międzynarodowych. Postanowienia powzięte w Jaltie, dotyczące Polski, są pogwałceniem Karty Atlantycznej. W głosie mówcy brzmiało przejęcie i nuta głębokiej szczerości. Częste głosy z obydwu stron Izby: „Hear, hear” podkreślały ważniejsze momenty przemówienia.

Czy potrzeba dodawać, jak głęboki oddźwięk mówca ten znalazł w sercu każdego Polaka? Przecież jego rozumowanie jest naszym rozumowaniem, niezachwianym ani na chwilę przez przeszłość pięć lat wojny. Polska swoim: „Nie” w dniu 1 września 1939 roku zadeklarowała całemu światu, że wierzy w prawo przed siłą, stawia wolność i niepodległość ponad spokój okupiony chwilową uległością, honor ponad układną współpracę z wrogiem. Ta postawa Polski nadała wojnie podjętej przez Narody Zjednoczone charakter wojny świętej — wojny o zasady i ideały.

OGÓLNY SENS DEBATY I KOŃCOWEGO GŁOSOWANIA

Aczkolwiek Izba Gmin swym głosowaniem w pełni poparła rezolucję rządową, to jednak sądząc z przemówień i nastrojów, można z całą pewnością stwierdzić, że nie było to głosowanie przeciw Polsce, ale za wiarą w dobre zamiary Rosji Sowieckiej.

Przez usta Premiera, ministra spraw zagranicznych, swoich

przedstawicieli w Parlamencie, posłów społeczeństwo brytyjskie wyraziło zrozumienie dla trudności naszej sytuacji, a zarazem głębokie zatroskanie o losy swego pierwszego Sprzymierzeńca w tej wojnie. Społeczeństwo brytyjskie zaniepokojone jest o niepodległość Polski i sprawa ta nie jest mu obojętna. Problem Polski stanowi dla tego Kraju nie tylko problem polityczny, lecz także głęboko moralny, problem sumienia. Większość Izby Gmin, która poparła politykę swego rządu, tym samym zobowiązała się do poparcia go i strzeżenia obietnicy, że rząd brytyjski uczyni wszystko co w jego mocy, by słowa i zasady zostały wprowadzone w życie, by utworzenie rządu w Polsce odbyło się uczciwie — według pojęć Zachodu. Zobowiązano się również, że tylko taki rząd w Polsce będzie uznany przez Wielką Brytanię, który będzie oparty naprawdę na szerokiej podstawie demokratycznych — znów w pojęciu zachodnim demokracji.

PROPOZYCJA OBYWATELSTWA BRYTYJSKIEGO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH

Przyszłość, może już niedaleka, pokaże, kto miał rację w ocenie położenia w Polsce. Że ta przyszłość może być niepomyślna, świadczy o tym jeden ustęp przemówienia premiera Churchilla. Na przekór podnoszonej wierze w dobrą wolę Sowietów wyraził on nadzieję, że będzie możliwe ofiarowanie obywatelstwa brytyjskiego żołnierzom polskim, którzy nie będą mogli powrócić do Kraju.

Jesteśmy wdzięczni Premierowi Brytyjskiemu za tę propozycję. Widzimy w niej wyraz uznania, dowód braterstwa broni i troski narodu brytyjskiego o nas. Musimy jednak stwierdzić, że przyjęcie tej propozycji byłoby tylko tragiczną koniecznością. Nie przyszłoby nam tę Wyspę po to, aby na niej pozostać. Przybyliśmy tu jako wierni w ciężkich chwilach sprzymierzeńcy, aby walczyć dalej o wspólne ideały, aby walczyć dalej przeciw wspólnemu wrogowi. Gdy Niemcy zostaną pobite, gdy skończy się wojna i z nią nasza rola tutaj, gorąco chcielibyśmy wrócić do Polski. Chcielibyśmy podnieść ją z gruzów, otrzeć lzy naszymi bliskim. Chcielibyśmy budować w Polsce nowe życie, zgodnie z duchem i tradycją Polski, należącej do Zachodu i Chrześcijaństwa. Nadzieję powrotu mącą nam niestety wiadomości z Kraju o deportacjach i aresztowaniach, o przesładowaniu naszych kolegów — żołnierzy z Armii Krajowej, którzy walczyli o to samo, o co my walczymy. Nadzieję powrotu odbierają nam wiadomości, że Polak nie jest gospodarzem na swej ziemi.

Dlatego my nie prosimy nikogo o obywatelstwo jego Kraju. Pragniemy, aby Wielka Brytania, cały świat anglosaski, cały obóz Zjednoczonych Narodów użył wielkich wpływów i wszystkich możliwości, by nam dano warunki powrotu jako obywateli polskich — do Polski, o którą walczyliśmy i w której dane by nam było żyć, jak dane jest żyć żołnierzom innych narodów w swoich nie tylko

„uwolnionych”, ale i wolnych krajach.

KAPITAŁ SYMPATHII I WDZIĘCZNOŚCI, ZDOBYTY PRZEZ SIŁY ZBROJNE

W tym pragnieniu powrotu mamy z pewnością poparcie całego narodu brytyjskiego. Miniona debata pokazała, jak wielki kapitał uczuciowy, idący od sympatii po wdzięczność, ma Polska u większości społeczeństwa brytyjskiego. Wyrazem tego były reakcje, można śmiało powiedzieć, całej Izby na takie słowa jak: „Niezlomna postawa narodu polskiego w tej wojnie”, „Polskie Siły Zbrojne”, „Kraj bez Quislingów”, „Warszawa”, „Powstanie warszawskie”, „Generał Bór Komorowski”. Śledziłem te odruchy życzliwości, uznania, rozumienia w ciągu debaty wielokrotnie.

Major Willoughby de Fresby, który sam był w wojsku przez ostatnie pięć lat i który poznał żołnierza polskiego zarówno w czasie szkolenia, jak i w walce, powiedział:

„Tak się złożyło, że w ciągu ubiegłych pięciu lat żyłem wśród wojska polskiego i szkolłem je. Oficerowie polscy byli przydzieleni do mego pułku i niejednokrotnie walczyłem razem z polską Dywizją Pancerną. Mogę zapewnić Wysoką Izbę, że niełatwo byłoby znaleźć gdziekolwiek jednostkę bardziej przyjazną, tak pełną uroku i barwności zgranną. Nie można by też znaleźć jednostki bardziej zdecydowanej i bardziej walecznej, z którą razem chciało by się walczyć”.

Nawet poseł komunistyczny Gallacher, znany ze swego wroiego stosunku do nas, zmuszony był stwierdzić:

„Nie mogę zaważyć się przed dołączeniem się do tego, co tu powiedziano na cześć żołnierza polskiego i narodu polskiego — wielkiego narodu, narodu z historią znoję i cierpień, przez które przeszli wszyscy jego członkowie. Jeśli kiedykolwiek jakiś naród zasługiwał na to, by mieć wolność i niepodległość, to zasługuje na to naród polski”.

Te i tym podobne słowa były nie tylko objawami sympatii, ale stwierdzeniami wielkości moralnej Narodu Polskiego, stwierdzeniami w dużej mierze opartymi na ocenie dokonania żołnierza polskiego w tej wojnie. Jakże inaczej wyglądałaby ta debata, gdyby Polskich Sił Zbrojnych nie było. Rozumieją to nasi wrogowie. Stąd ich ciągle usiłowania rozbicia, zdeorganizowania naszych szeregów.

PRZETRWAĆ I DOCHOWAĆ WIERNOŚCI

Żołnierz polski, który już tyle przeszedł, jest świadom swych obowiązków, zwłaszcza w tych ciężkich chwilach. Wie on, że kryzys, który trwa, trzeba — przetrwać. Trzeba się przewzwyżać, chociaż nieraz ciężko — trzeba się opanować i dalej pełnić służbę dla Polski.

Żołnierz polski pamięta słowa swej przysięgi: ... „stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być wiernym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać”. Cokolwiek się stanie, żołnierz polski czeka tylko na decyzje Władz Naczelnych i decyzje te wykona zgodnie z honorem.

WITOLD LEITGEBER

MARIAN WALENTYNOWICZ: Płonący czołg



WYNIKI DEBATY

Wielka debata w Izbie Gmin i Izbie Lordów na temat uchwały krymskiej w ogóle, a uchwały w sprawie Polski w szczególności, stała się — jak tego oczekiwaliśmy — wydarzeniem pierwszorzędnej znaczenia i dała sposobność do zadokumentowania wobec świata, jak wielką troską napawa społeczeństwo brytyjskie los sprawy polskiej. Debata ta raz jeszcze dowiodła, że dyktat krymski nie jest jeszcze ostatnim słowem, że walka trwa. I to jest pierwszy wniosek, który z niej należy wyciągnąć.

Ujmując krótko bilans tej debaty trzeba stwierdzić, że ci, którzy bronią postanowień krymskich, nie robią tego bynajmniej dlatego, by uważali je za naprawdę dobre rozwiązanie. Sam rząd tłumaczy jedynie, że linia Curzona jest słuszną, co zresztą nie trafia do przekonania nawet wszystkim jego zwolennikom: niejednen spośród nich wywołał, że trzeba ją przyjąć, ale nie jako triumf sprawiedliwości, lecz jako akt podjętowany siłą.

Zgodni są wszyscy co do jednego, a mianowicie, że sprawa niepodległości jest ważniejsza, aniżeli sprawa granic. Ale na tym jednomyślności się kończy. Rząd i jego zwolennicy uważają, że decyzje krymskie są rozwiązaniem najlepszym, jakie w danych okolicznościach można było osiągnąć, ale przyznają, że wszystko będzie zależało od tego, jak te decyzje zostaną wprowadzone w życie. Ze słów min. Edena zwłaszcza jasno wynikało, że wcale nie jest pewny, czy uczciwe wypełnienie postanowień dotyczących „reprezentatywnego” charakteru planowanego „rządu tymczasowego” będzie możliwe. Jasno zarysował możliwość, że rząd, któryby odpowiadał stawianym warunkom, nie powstanie i że utrzyma się nadal dzisiejszy stan rzeczy. Z drugiej strony krytycy decyzji krymskich są z góry przekonani, że uchwały z Jalty nie są w stanie zapewnić Polsce niepodległości i że plamą dla dobrej imię W. Brytanii, pozostając w sprzeczności z jej zobowiązaniami wobec Polski i z Kartą Atlantyczną.

W wyniku debaty, której prasa, a zwłaszcza radio nadało duży rozgłos, społeczeństwo brytyjskie niewątpliwie lepiej zrozumiało istotę zagadnienia. Dowiedziało się bardziej autorytatywnie, niż dotąd o takich faktach, jak deportacje i aresztowania — faktach, które są dla niego niepojęte. Usłyszało też od min. Edena wiele ostrzych słów pod adresem Lublina. Wiele błędnych wyobrażeń, które powstały w umysłach na tle sztucznego entuzjazmu prasy nazajutrz po Krymie doczekało się w ten sposób sprostowania. Niezwykła oferta prem. Churchilla

przyznania żołnierzom polskim obywatelstwa brytyjskiego uznana została za dowód, że sam premier Churchill nie wierzy, by decyzje krymskie zapewniały niepodległość Polski.

Wielu Brytyjczyków, zwłaszcza zaś żołnierzy, zdaje sobie sprawę z tego, że w grze są najistotniejsze interesy narodu brytyjskiego. Pogłębia się lęk, czy wysiłki i ofiary tej wojny nie ulegną zmarnowaniu. Poseł Sir Archibald Southby opowiedział, że przed paru dniami w jednym z brytyjskich kasyn oficerskich pewien oficer oświadczył: „Jest oczywiście rzeczą jasną, że toczyliśmy tę wojnę na próżno; wszelkie zasady, w imię których rozpoczęliśmy ją, zostały poświęcone”. Zdaniem tego posła jest to opinia coraz większej liczby ludzi w W. Brytanii. Nikt przeciw temu twierdzeniu nie zaprotestował.

Na tym tle znamienne było przypomnienie przez p. Edena, że od stuleci polityka zagraniczna W. Brytanii opierała się na stanowczej woli niedopuszczenia do górowania jednego mocarstwa w Europie. Dlatego walczyła ona z Hiszpanią Filipa II, Francją Napoleona czy Niemcami Wilhelma II i Hitlera. P. Eden przyznał, że wielu ludzi w Anglii obawia się, czy z kolei Rosja nie śni snu o panowaniu nad Europą i jako argument polemiczny wysunął jedynie fakt, że głosi to propaganda niemiecka, przed którą trzeba mieć się na baczności.

I jeśliby ująć krótko postulat rządu pod adresem własnego narodu, to brzmi on: Zaufajmy słowu Stalina, dajmy mu kredyt zaufania, poczekajmy, jak wyglądać będzie w praktyce urzeczywistnienie decyzji krymskich.

WYROK ODROZCZONY

I na tym właściwie skończyło się. Izba wyraziła rządowi zaufanie, ale nie postawiła wątpliwości co do tego, że nie da się oszukać jakąś fikcją niepodległości Polski. Wie ona dobrze, jakie warunki muszą być spełnione jeśli postanowienia krymskie nie mają być tylko krzywdą Polski, ale nadto gigantycznym oszustwem. Wyrok został jakby odroczony. Nazajutrz po debacie „Daily Mail” tak to ujął: Cień Polski pozostał i pozostanie do chwili, gdy „znane będą warunki porozumienia lub może braku porozumienia”.

W ten sposób nastąpiło pewne wyjaśnienie sytuacji. Albo pojęcia demokracji, wolności i t.d. zostaną zastosowane w taki sposób, jak są rozumiane na Zachodzie i wówczas

dyktat krymski doczeka się ostatecznego przyjęcia przez opinię Zachodu. Albo też powtórzy się historia Monachium, gdy opinia początkowo zaufała frazesom, uwierzyła, że za cenę ustępstw terytorialnych Czechosłowacja zachowa niepodległość, a nawet dała wiarę „bajkom” — jak je określił Churchill — wedle których Czechosłowacja będzie „silniejsza”, bo się pozbędzie mniejszości. Nie minęło nawet pół roku, a rzeczywistość przekształciła te złudzenia i polityka monachijska musiała ustąpić miejsca innej polityce. Jeśli podobne nadzieje opinii Zachodu również spotkał taki sam los, to i polityka krymska musiałaby ulec przekształceniu.

Najgorsza byłaby trzecia możliwość, a mianowicie wprowadzenie w błąd opinii Zachodu przez wmówienie jej, że wszystko jest jak najlepiej, że powstał reprezentatywny rząd, że wolność jest całkowita i t.d., podczas gdy w rzeczywistości dalej rządziło by Polska N.K.W.D. Ale oszustwo takie nie powinno być już możliwe. Nie będzie w każdym razie możliwe, jeżeli nie znajdzie się żaden wybitny polityk polski, któryby je autorytetem swym osłaniał.

Moment rozstrzygającej próby dopiero przyjdzie. Nastąpi on w nadchodzących tygodniach i miesiącach. Od tego, jak ta próba wypadnie, zależne będzie niesłychanie wiele. Jak pisał „Observer”: „Rosja powinna zrozumieć, że jest rzeczą nieuniknioną, że ostateczne zamiary jej polityki będą sądzone wedle tego, co uczyni, lub pozwoli uczynić w Polsce w nadchodzących miesiącach”.

NAD RENEM

Tymczasem dzień klęski Niemiec zbliża się nieuchronnie. Ostatnie sukcesy sojusznicy na zachodzie pozwalają oczekiwać, że i tu zaczęła się ostatnia faza dramatu.

Triumfalny marsz 9 armii amerykańskiej gen. Simpsona w kierunku Renu sprawił, że w ostatnim tygodniu raz jeszcze, choć może tylko na krótko, punkt ciężkości przeniósł się

Za duszę ś.p.
TADEUSZA JERZEGO
BULSIEWICZA

zmarłego z odniesionych ran dn. 7 lutego 1945 odbędzie się msza św. w Edinburgu w kościele św. Anny, przy Randolph Place, w piątek dnia 9 marca o godz. 8.15 rano na którą zapraszają Stefania i Maria N. /z b. czołówki 5 dyw. w Dział. Abad./

Przegląd tygodniowy

ska gen. Dempsey'a w ogóle jeszcze nie weszła do akcji. W ten sposób dowództwo sojuszników ma w odwodzie spore świeże siły, które wprowadzi w odpowiedniej chwili.

NOWY POTRZASK NAD BAŁTYKIEM

Na froncie wschodnim na ogół w dalszym ciągu trwa pewnego rodzaju zastój. Jednak, wbrew przewidywaniom korespondentów z Moskwy i komentatorów niemieckich, dwa czy trzy tygodnie nie mogły wystarczyć na przygotowanie drugiej fazy ofensywy zimowej. Po trzytygodniowym skoku Rosjanie musieli zatrzymać się na dłużej.

Zastój nie jest jednak zupełny. Rosjanie poczynili pewne postępy w Słowacji, przede wszystkim zaś oddziały marsz. Rokossowskiego, zajmując Koszalin, odciepyły duże siły niemieckie na Pomorze, podczas gdy dalej dla zachodu siły Żukowa dotarły do Bałtyku koło Kołobrzega. Odciepyły tych sił, choćby się one następnie broniły tak zaciekle, jak się bronią do tej pory oddziały pozostawione w Prusach Wschodnich i choćby w końcu część ich zdołała ewakuować się morzem z Gdyni i Gdańska, będzie z pewnością bardzo poważnym ciosem dla Niemców.

Jednym z rysów charakterystycznych kampanii na wschodzie jest w dalszym ciągu rozpaczliwa i długotrwała obrona przez Niemców ważnych miast daleko na tyłach frontu. Niemcy twierdzą, że świadome pozostawiają garnizony skazane na zagładę, zamiast wycofać je, nim zostaną całkowicie odcięte. Wydaje się to odpowiadać prawdzie. Obrona takich węzłów komunikacyjnych, jak Poznań, Grudziądz, Piła, Wrocław, Głogów i t.d. spełnia podobną rolę, jak trwająca po dziś dzień obrona portów atlantyckich; chodzi o sparaliżowanie linii komunikacyjnych przeciwnika. Czy jednak opaci się ona Niemcom? Budapeszt kosztował ich 200.000 ludzi, Poznań — 48.000, Wrocław kosztować będzie jeszcze więcej. Zysk na czasie nie wydaje się pozostawać w stosunku do strat.

Ale przewódca niemieccy, którzy ustami Goebbelsa zapowiedzieli ostatecznie, że raczej popełnią samobójstwo, niż by się mieli poddać, uważają, że nie ma ceny zbyt wysokiej za każdy dzień zwłoki. To samobójcze nastawienie Niemców sprawia, że każde nieznaczne opóźnienie ostatecznej klęski czyni tę klęskę bardziej kompletną: żywotne siły narodu niemieckiego wyczerpują się tak bardzo, że problem Rzeszy naprawdę będzie mógł być rozwiązany — jak zapewnia Churchill — na wiele pokoleń.

London, 4 marca 1945.

ALEKSANDER BORAY

Nowości lotnicze

Od dawna było wiadome, że zarówno Wielka Brytania jak i Stany Zjednoczone posiadają już samoloty o napędzie termiczno-strumieniowym, lecz dopiero parę dni temu ukazała się w prasie alianckiej wzmianka, że samolot „Gloster-Meteor” został wprowadzony do akcji.

Niewątpliwie samoloty o napędzie propulsyjnym mają swe dobre i złe strony: dobre — to szybkość, łatwość produkcji, taniość, złe natomiast — to właśnie owa szybkość, nie pozwalająca na precyzyjne działanie w walce, utrudniająca manewr, zmniejszająca zwrotność.

Jeżeli chodzi o niemieckie samoloty tego samego typu, to stały się one groźnymi przeciwnikami zwykłych myśliwców alianckich, z racji swej nieuchwytności. Niebawem oczekamy się pierwszych relacji z walk samolotów termiczno-strumieniowych między sobą. Dopiero te pierwsze walki dadzą nam właściwy obraz ich wartości bojowej. W tej chwili wiemy już z doświadczenia, że samoloty takie lepiej niż jakiegokolwiek inne nadają się do rozpoznania na bliskie odległości, oraz do krótkich wypadów bombowych na czułe punkty za liniami przeciwnika.

Właściwości lotne samolotów typu „Gloster-Meteor”: a więc przede wszystkim długość startu, czas przebiegania w powietrzu, zwrotność i szybkość, są jeszcze odkryte tajemnicą, nie znamy też jego uzbrojenia. I nieprędko będzie można podać prawdziwe dane o nich do wiadomości publicznej. Natomiast przedstawia

* Samoloty o napędzie termiczno-strumieniowym należą do grupy samolotów bezmiglowych o silnikach bezłokowych. Silniki te działają odrzutem. Niektórzy nazywają je samolotami propulsyjnymi. Zbudowane są na tej samej zasadzie, co znane nam z licznych publikacji silniki bomb latających.

Samoloty o silnikach termiczno-strumieniowych należy odróżnić od należących do tej samej grupy samolotów raketowych. Samoloty raketowe są jeszcze w początkowym okresie rozwoju i jedynym znanym typem tego rodzaju jest niemiecki „Me 163”. Silnik tego samolotu jest pokrewny silnikowi, który zapewnia lot pociskowi raketowemu V.2. Różnica polega na tym, że o ile pocisk raketowy nie mając pilota, raz wyrzucony, pozwala sobą kierować z ziemi tylko w bardzo ograniczonym stopniu, o tyle samolot raketowy, posłuszny pilotowi, daje się kierować w równej mierze, jak zwykły samolot.

ło się już do prasy trochę danych o niemieckich samolotach tego typu. Potrzebują one bardzo długich i dobrze rozbudowanych bieżni, co w znacznej mierze utrudnia angażowanie ich tam, gdzie nie ma betonowych *runway'ów* na lotniskach, a nawet tam, gdzie te *runwaye* są, lecz nie są przedłużone. Dlatego do tej chwili nie użyto tych maszyn na froncie wschodnim. Ponadto wiemy, że tylko bardzo ograniczony czas mogą przebywać w powietrzu, zużywając ogromną ilość paliwa, czterokrotnie prawie większą niż samolot ze zwykłymi motorami tłokowymi.

Sądząc z oficjalnych wypowiedzi Air Ministry, „Gloster-Meteor” jest lepszy pod tymi względami od niemieckiego „Me 262”.

Przypuszczamy, że przejście z silnika tłokowego na silnik termiczno-strumieniowy stanie się niebawem regułą. Silnik tłokowy prędzej czy później zniknie z użycia. Silnik termiczno-strumieniowy jest niezwykle prosty, brak w nim tych wszystkich nad wyraz skomplikowanych szczegółów, które ma silnik tłokowy. Koszt i czas produkcji jest mniejszy. Poza tym znacznie mniejsza jest waga /obliczając 1 kg. na 1 H.P./.

Dodać także należy, że niektóre z tych silników nie są tak głośne i nie powodują takich drgań w strukturze samolotu, jak silniki tłokowe. Wszystko to przemawia za dalszym rozwojem i upowszechnieniem po wojnie nowego silnika termiczno-strumieniowego w komunikacji cy-

wilnej i w sporcie.

Ani komunikaty alianckie, ani komunikaty niemieckie nie wspominają ostatnio o żywszej działalności lotnictwa niemieckiego na froncie zachodnim, mimo iż ofensywa armii brytyjsko-amerykańskich rozwija się w sposób dla Niemców niebezpieczny i grożący nawet utratą całej Nadrenii. Natomiast przeciwnie — komunikaty sowieckie podają o licznych zestrzałach i walkach powietrznych, szczególnie w okolicach Frankfurtu nad Odrą i koło Wrocławia.

Możemy z tego wysnuć wnioski, że prawdopodobnie dowództwo Luftwaffe uważa front wschodni za bardziej groźny od zachodniego i tam

przerzuciło swe siły powietrzne.

Czy są one bardzo duże? Utrzymywaliśmy zawsze i podkreślaliśmy na tym miejscu, że Niemcy starają się utrzymać pierwszą linię w wysokości około 5000 samolotów. Nieraz też wyrażaliśmy zdanie, że najważniejszym czynnikiem w kalkulacji siły nie jest ilość pierwszej linii, lecz rezerwy, które za pierwszą linią stoją, czyli możliwość stałego uzupełniania braków i strat. Luftwaffe poniosła bardzo poważne straty w czasie akcji grudniowej i styczniowej na froncie zachodnim, tak że stan pierwszej linii poważnie opadł, bodajże o przeszło 1/5-a. Jednakże przypuszczamy, że Luftwaffe, dysponując w tej chwili dużą ilością wytwórni samolotów rozbudowanych pod ziemią, niewrażliwych na bombardowanie, potrafiła w ciągu ostatniego roku podwyższyć stan produkcji. Niewątpliwie mamy tu do czynienia także z wynikami niemieckiego planu uproszczenia produkcji i skoncentrowania się tylko na pewnej ograniczonej ilości typów samolotów myśliwskich, jako najbardziej wydajnych bojowo.

Nie znamy nawet w przybliżeniu możliwości sowieckich pod tym względem. Powołujemy się znowu na zdanie Zepellina, że jakość sowieckich samolotów znacznie się poprawiła i że w tej chwili na froncie wschodnim ukazały się typy nowoczesne, dobrze uzbrojone i szybkie. Lecz równocześnie ze źródeł neutralnych dowiadujemy się, że sowieckie lotnictwo w dążeniu do operowania liczbą, nie wahało się używać nawet swych typów wyszkoleniowych, n.p. w walce o Wrocław, czy w walce o Budapeszt. Jest to stary *trick*, zastosowany jeszcze w walce o Stalingrad. Tutaj znowu, o ile samolotom strumieniowym przeszkadza w walce ich szybkość, to je ochrania, jak niektórzy twierdzą, ich powolność. Wydaje się nam, że tak nie jest. Kalkulacja polega na czymś innym: przy zupełnym nieliczeniu się ze stratami tak taniego sprzętu, samolot taki, wypełniając swą misję, polegającą najczęściej na zbombardowaniu jakiegoś ściśle ograniczonego, trudnego do uchwycenia przez artylerię czy miny punktu — opłaca się już po jednorazowym użyciu. Wyszkołenie załóg takich samolotów jest bardzo tanie, trwa najwyżej 8 tygodni. W gruncie rzeczy system ten nie odbiega daleko od systemu samobójczej taktyki japońskiej, gdzie z góry przyjmujemy się, iż wypełnienie zadania będzie opłacone stratą człowieka i sprzętu.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

26 lutego: Prezydent R.P. mianował gen. dyw. Wł. Andersa p.o. Naczelnego Wodza.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało bardzo silnie Berlin za dnia.

—General Jouin dekorował w Paryżu dowódcę Dywizji Pancerniej gen. bryg. St. Maczka wstęga komandorii Legii Honorowej oraz sześciu oficerów Dywizji krzyżami Legii Honorowej i Croix de Guerre.

27 lutego: Wojska sowieckie zajęły Bobolice na Pomorzu niemieckim.

—W Izbie Gmin rozpoczęła się dyskusja na temat konferencji krymskiej. Sprawozdanie z konferencji złożył premier Churchill, mówiąc obszernie na temat Polski.

—Liban wypowiedział wojnę państwu „osi”.

ZWIAZEK DZIENNIKARZY R.P.

organizuje w dniu 9 marca b.r. o godz. 18 w sali „Ogniska Polskiego” 45, Belgrave Square, S.W.1. odczyt

ZBIGNIEWA GRABOWSKIEGO

p.t.

“WIEK KLĘSKI”

Rzecz o sytuacji politycznej w r. 1945 Wstęp wolny.

28 lutego: Wojska sowieckie zajęły Szczecinek na Pomorzu niemieckim.

—Wojska Sprzymierzonych ustanowiły przyczółki mostowe na rzece Erft w Niemczech.

—Drugi dzień dyskusji w Izbie Gmin na temat konferencji krymskiej. 21 postów złożyło poprawkę do rezolucji rządowej, występując o obronie praw Polski naruszonych przez decyzje krymskie. Poprawka została odrzucona 396 głosami przeciw 25. Około 50 postów wstrzymało się od głosowania. Podsekretarz stanu Henry Strauss podał się do dymisji, nie godząc się z polityką rządu brytyjskiego wobec Polski.

1 marca: Ogłoszono, że wojska amerykańskie zajęły Muenchen-Gladbach, a wojska kanadyjskie Kervenheim.

—Trzeci dzień dyskusji w Izbie Gmin na temat konferencji krymskiej. Izba jednogłośnie 413 głosami przyjęła decyzje krymskie. Około 30 postów wstrzymało się od głosowania. Tego samego dnia dyskutowano decyzje konferencji krymskiej w Izbie Lordów.

—Persja wypowiedziała wojnę Japonii.

2 marca: Wojska amerykańskie dotarły do Renu niedaleko Duesseldorfu. Ogłoszono, że Sprzymierzeni zajęli Krefeld, Roermond, Venlo, Trewir i Neuss.

—Kolonia była dwukrotnie za dnia bombardowana przez lotnictwo

Sprzymierzonych.

—Wojska sowieckie zajęły potudniową część Grudziądza.

—Prezydent Brazylii podpisał dekrety, przywracające ustrój demokratyczny.

3 marca: Niemcy wycofują się na całym froncie w kierunku Renu. Wojska kanadyjskie i amerykańskie nawiązały łączność w rej. Gelderen.

—Finlandia wypowiedziała wojnę Niemcom.

4 marca: Wojska sowieckie dotarły do Bałtyku w rej. Kołobrzegu oraz zajęły Koszalin, odcinając Niemców w rejonie Gdańska.

—W nocy z 3/4, w dwunastą noc z rządu lotnictwo brytyjskie /samoloty typu „Mosquito”/ bombardowało Berlin.

Od Wydawnictwa Od dnia 15 marca 1945 r. jesteśmy zmuszeni, ze względu na wzrost kosztów wydawniczych, podnieść cenę „Polski Walczącej” do 3 d. za egzemplarz.

Prenumerata miesięczna od 1 kwietnia 1945 r. wynosić będzie wraz z kosztami przesyłki pocztowej /w Wielkiej Brytanii lub zagranicą/ 1 sh. 6d., a kwartalna 4s. 6 d.

Kaczki nie były dziennikarskie



Oto jedna z nich

Front włoski, luty 1945

—Słyszałem, że pan ma ochotę iść na patrol — powiedział do mnie dowódca batalionu, mjr. K. rozcierając zmarznięte ręce.

—Ewentualnie mógłbym pójść — mruknąłem bez specjalnego zapalu.

Nastrój w punkcie dowodzenia baonu "Żbików" należał do wybitnie przyjemnych. Gości, a w tym i mnie, zabawiano "czym cha-ta bogata". Gdy nie było jeńców, ściągano ogień artylerii, gdy goście grymasili na artylerię, fatygowano moździerze, minowano przedpole i w ogóle służono wszystkim możliwym atrakcjami. Na dobitkę arcymoździerzysta por. F. szepnął mi, że wieczorem będziemy doili kolektywnie jakąś wysoce przednią szkocką *whisky*. Szkocka *whisky* na czubku włoskiego frontu! Okazja, jak cholera!

Czyż można więc dziwić się, że w tych warunkach zdołałem gruntownie zapomnieć o wybakniętej przed jakimś czasem propozycji pójścia na patrol? I, że tego wieczoru specjalnie najmniejszą w tym względzie miałem ochotę?

—Bo właśnie dzisiejszej nocy rusza patrol bojowy, który może być bardzo ciekawy — ciągnął mjr. K. — Zadysponowałem już, aby przysłał przewoźnika po pana i za jakiś kwadransik będzie pan mógł wyruszyć.

Szłałem w duchu panamajorową skwapliwość i pochopność w krwiożerczym dysponowaniu korespondentami. Ale głośno oświadczyłem, że owszem, że ogromnie się cieszę i że mam nadzieję odnalezienia po powrocie jakiejś, chociażby drobnej ilości wyżej wzmiankowanej *whisky*. Przez moment uczerpiłem się jeszcze drobnej nadziei w postaci... butów. Oto mam długie buty gumowe, w których nie pójde przecież na górski patrol. Więc, może by tak odłożyć?

—He, he, he — roześmiał się mjr. K. — to jest drobiazg. Mamy tu kilkudziesięciu żołnierzy i na pewno jakaś dobra para butów dla pana się znajdzie.

Istotnie, znalazła się. Wobec tego już po kwadransie, wsadzony w długi, biały chałat maskowniczy, w przepisowy hełm i pozbawiony w myśl regulaminu t.zw. kompromitujących papierów /"bo to wie pan, do niewoli można się zawsze dostać"/ ruszałem na patrolową eskapadę.

Noc robiła się chłodna i mroźna. Śnieg piszczał pod krokami, nogi w cudzych butach ślizgały się po oblodzonej drodze, a przewoźnik posuwał się w takim tempie, jakby mu się naprawdę gdzieś specjalnie śpieszyło. Dopóki szliśmy drogą równą, wszystko było jeszcze do wytrzymania. Tragedia rozpoczęła się dopiero przy wejściu na zbocze, pokręcone, strome i niewygodne.

—Ależ ostra góra — warknąłem.

—Ii, tam wyżej dopiero pan zobaczy — pocieszył mnie przewoźnik.

I rzeczywiście, im wyżej, tym gorzej. Ścieżka staje się zamazana i niewyraźna, a całe ciało, coraz to cięższe, zdradza oczywistą ochotę powrotu do ciepłego m.p.

co! I patrol po malej chwilec rusza.

Droga jest tym razem inna, niż poprzednio. Zsuwamy się z góry w tempie dość szybkim, czasem nawet błyskawicznym. Z przymusowym zamilowaniem uprawiam sanceczkowanie bez sanek i dzięki temu jestem tuż, tuż na tropach ppor. P. Jest białe od śniegu i sedlądnowo od świateł reflektorów, które kładą się zza wierzchołki z nami szerokimi smugami na niebo i na wierzchołki obok nas.

Szeroki pas "ziemi niczyjej" marszczy się w tym oświetleniu licznymi pagórkami, gajami oliwek, czerni parowami i cieniami od śnieżnych zasp. Drogę już nie ma i prowadzi nas jedna tylko wątna ścieżyna, wydeptana przez patrole poprzednie. Gdzieś niegdzie tkwią dwa lub trzy miserne stogi, z których właściciele już dawno zrezygnowali.

Zza naszych pleców, z okolic punktu dowodzenia rąbią moździerze. Czynią to z zajądłym entuzjazmem, raz po raz. Wiem po co i wiem dlaczego: por. F. dodaje mi w ten sposób odwagi. Oświadcza moździerzowymi głosami, że jest, że pamięta i że nie rozpoczął jeszcze butelki *whisky*, która podobnie jak i on czeka na mój powrót.

Zza wierzchołki przed nami zaczyna walić moździerz nieemieckie. Ale nie specjalnie. Po prostu, aby dać znak swego istnienia i niejako napomknąć, że one też, w razie czego potrafią.

Ubezpieczenie patrolu, sunące przed nami, kuca nagle na śniegu. Widzimy to wyraźnie, bo ubezpieczenie znajduje się dużo niżej od nas, już prawie w samej dolinie. Kucamy i my, wypatrując co też mogło zatrzymać nasz pochód.

Na sto jardów z przodu czernieje wysunięty cień. Niemiec! Widocznie czujka nieprzyjacielska. Już sobie zaczynam wyobrażać koncepcje strategiczne, które w tej chwili na pewno kłębią się pod włosami naszego dowódcy, gdy nagle noga usuwa mi się na śniegu, spychając z hałasem sporą lawinę. Robi się szum w przy-cichym uprzednio powietrzu i czujka nieemiecka przed nami skacze diabelnym susem naprzód. Zając, psia krew.

Śmieję się z cicha, gdy wtem z boku, z parowu, znajdującego się o kilkanaście metrów od nas odzywa się nowy głos. Że co? Ależ tak! Bez żadnej wątpliwości słyszymy kaczkę nawoływania: kwa, kwa, kwa. Por. P. nie wierzy jeszcze własnym uszom, zbiega w dół do parowu, a po tym wraca i rzuca mi się na szyję:

—Kaczki, proszę pana! Jak pragnę zdrowia kaczki! Wszystkie pięć w kupie. A to nam się udało.

Wobec tego olśniewającego odkrycia sprawa Niemców schodzi na plan dalszy, nie mniej jednak trzeba im poświęcić także nieco zainteresowania. Do kaczek wrócimy później, po wykonaniu zadania.

Do zabudowań folwarku, który leży mniej więcej w punkcie centralnym "ziemi niczyjej" zbliżamy się z wzorową ostrożnością. Folwark właśnie jest naszym celem. Chodzi o to, czy nie włóczą się tam przypadkiem Niemcy, wzglę-

dnie czy nie usiłują do niego do-chodzić. Posuwamy się od ogro-dzenia za stogi, po czym włączymy do dużej obory. W nozdrza uderza dusząca i słodka woń.

—Śmierdzi, jak nieszczęście — mruczy ppor. P. — Tu musi być trochę gnijącego ściervy, co?

—Czy są także ludzie? — py-tam.

—E, e, chyba nie. A jeśli na-wet, to najwyżej cywile, na Niem-ców nie było jeszcze okazji.

—Oh, żeby tak choć jednego Niemca rąbnąć — wzdycha strz. Z. —Cóż ci tak zależy na zabiciu Niemca? — dziwi się dowódca pa-trolu. — Chodzi przecież o wiado-mości, a nie o trupy.

—Abo to, pan porucznik pamię-ta tę moją wyprawę do tej dziew-czynki...

—Aha, tę wyprawę, za którą do-stałeś pięć dni z zawieszeniem?

—Właśnie, jakby my tera Niemca zabili, to może by te pięć dni przepadło.

Niemców nie ma jednak ani śla-du. Dom stoi rozwalony do piwni-cy, obsypany śniegiem i z ze-wnątrz i z wewnątrz. Z kurnika odzywają się słabiotko kury.

—A może by tak kury zaiwanić? — sugeruję por. P.

On jednak macha lekceważąco ręką. Cóż za zdobycz kury? Nie warto. A poza tym kury są zbyt głośne, a my znajdujemy się za blisko stanowisk nieprzyjaciela. Nie, nie, pójdziemy jeszcze trochę dalej a potem wrócimy do kaczek.

Trochę dalej jest też zupełna martwota. Kotlina leży przed na-mi idealnie gładka, bez jakiegokol-wiek śladów ludzkiej obecności. Jest najzupełniej oczywiste, że po-za nami nikt nie zjawia się w tym terenie, że jest to naprawdę zie-mia niczyja, interesująca co naj-wyżej stanowiska obserwacyjne artylerii i moździerzy.

Wracamy zatem dość szybko, bo mróz się zrobił dotkliwy i poszezy-puje solidnie w twarz i ręce. Mi-jamy folwark, włączymy na własne ślady, dręczeni lekką obawą, czy aby kaczki przewrotnie nam nie uciekły. Na szczęście jednak nie. Złaząc do parowu słyszymy znowu wyraźnie ich pokwakiwanie i cią-głe posuwanie się tu i tam.

—Drepczą widocznie dla rozgrzewki — żartuje ktoś z pa-trolu.

Plan polowania jest genialnie prosty. Ludzie patrolu staną na brzegu parowu i będą ubezpieczać całą imprezę przed ewentualnymi niespodziankami ze strony Niem-ców. Ppor. P. i ja zejdziemy na dół, osaczymy kaczki dwustronnie, no i to wszystko.

Kaczki jednak nie chcą zgodzić się z wyrokiem śmierci. Podnoszą nagle taki wrzask, że musimy za-prześcić całą zabawę. A nuż Niemcy usłyszą? Ale przedpole pozostaje nadal ciche i martwe. W pewnej chwili jedna z kaczek wyrzyna naprzód i biegnie ze sto metrów dalej. Dowódca patrolu goni ją zaciekłe i w końcu dopę-dza. Jeszcze parę minut i drapie-my się ze zdobyczą pod górę.

Jest jaśniej, niż przedtem. Kilka nowych świateł reflektorów wypada z łańcucha naszych sta-nowisk. Ppor. P. mruczy zadowo-lony i pogwizduje co chwila. Ma powód do zadowolenia. Patrol istotnie został uwieczony sukces-em.

Światła reflektorów schodzą z nieba na ziemię i pelzają po niej, tworząc długie, jasno-zielone ko-rytarze. Znowu odzywa się ze swymi moździerzami por. F. i wty-ruje mu tym razem naszą artyle-ria. Strzela także artyleria nie-miecka. Na prawym skrzydle ode-zwały się jazgotliwym tenorkiem *Spandau'y*. Jest coraz głośnie-j i głośnie-j. Lecz nie za bardzo.

—To nie jest jeszcze wojna — myślę sobie — to jest... szukam odpowiedniego słowa i nie mogę go znaleźć. Jakby określić ten stan tę rzeczywistość, równocześnie wojenną i niewojenną sytuację na przedpolu? Pnę się pod górę i mę-czę się podwójnie: z terenem i ze słowem, które trudno znaleźć.

Na szczycie przystaję, uderzony obrazem, jaki nagle roztoczył się przed nami.

—Popatrz pan na te góry — mówię do ppor. P.

On zaś kiwa głową na znak, że rozumie. Ale nie nie mówimy do siebie, bo coż znaczy każda rozmowa, wobec widoku, który ja oso-biście uważam za największy sukces naszego patrolu? Szczyty gór przed nami mają kolor grana-towy i zlewają się w jedną całość z granatem nieba. Gdzieś z boku wypryskują nieregularne, seledy-nowe światła reflektorów, ujmując grzbiety górskie w jakieś ogro-mnych rozmiarów ramy. Im ni-żej, tym zobczają się coraz wy-raźniejsze, coraz bielsze od śniegu i bardziej błękitne od mrozu. Nie-regularne linie gajów i drzew przypominają naszyjnik, całe rzę-dy naszyjników, nałożonych na wysmukłe szczyty gór. Pod nogami ziemia urywa się, biegnąc w dół nieprzeniknioną czernią.

Nad głową wibrują i śpiewają cienkim, wionocelowym głosem pociski moździerzy. Od czasu do czasu prostacko parska artyleria. Z dołu w dalszym ciągu grzecho-czą *Spandau'y*...

Nagle odnajduję zagubione słowo, którego szukałem, pnąc się na szczyt.

—Tak, to nie jest wojna — mó-wię cicho — to jest tylko tło woj-ny. Tło, które czeka na swoje. Tło, które jednym pozwala odpocząć, a innym przygotować się do wojny, która powinna już wkrótce tu zejść.

—To znaczy tło, które jest dla nas — uśmiecha się ppor. P. — To my mamy odpocząć i my mamy przygotować się.

* * *

Kaczki zostały podzielone spra-wiedliwie. Pierwszą dostał patrol, drugą szef kompanii, trzecią do-wódca patrolu, czwartą mjr. K., a ja piątą. Na drugi dzień, celem skonsumowania kaczek zjawiała się na punkcie dowodzenia spora gro-madka zaproszonych i niezapro-szonych gości. Uprzejmy mjr. K. dorzucił do menu jeszcze jedną ku-rę, no i trochę — już chyba dla za-sady — *corned beef'u*. Alkohol był taki i owaki, z butelką wciąż obiecywaną *whisky* na czele. Ta-deusz Zajączkowski, współkore-spondent wojenny, współgłóg i współwłóczęga wystąpił z rewel-ecyjnym i — dodajmy nawiasem — bezczelnym twierdzeniem:

—Mój przyjaciel Marek poszedł na ten patrol po kaczki tylko i wy-lącznie dlatego, aby mi zrobić przyjemność. Dzisiaj bowiem są moje urodziny.

—A, a, a! — wykrzyknęli z po-dziwem goście.

Ja zaś byłem tak zdumiony, że nie zdołałem nawet zaprzeczyć. To pięćdziesięcioletnie pachole na-prawdę ma tupet.

Do obiadu zasiadliśmy gwarnie i gęsto. Był dowódca "Wileń-skiej" ppłk. J. i jego zastępca ppłk. G., spora wiązanka dowódców kompanii, bukiecik *outsiderów* z odcinków i skłonność mówienia o odcinku. Przelamałem tę tendencję dość szybko, mówiąc o Arnheim i nie dając się zagłu-szyć.

... Gdy w godzinę po tym zjeź-dzieliśmy do tyłu, zęgnęły nas sal-wami moździerze.

—Niemcy zapewne głowią się nad tym, co ma znaczyć ten hałas — oświadczyłem towarzyszący-mu podróży. — Myślą, czy to aby nie przygotowywanie natarcia. Albo już co najmniej jakiś wstęp do hu-raganowego ognia na całym odcin-ku. A, przecież to tylko por. F. nas żegna i zaprasza na następną z kolei wizytę.

MAREK ŚWIĘCICKI

Pod górę — zaśnieżonym zboczem Apeninów



W obozie zbórnym we Francji

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

JAK MNIE PRZYWITANO I CO BYŁO POTEM

Lille w lutym 1945

— Jeszcze Ciebie tu tylko nie było, żebraku jeden! Mało mamy własnych kłopotów, to jeszcze pismaki różne zaczęły nam się na głowy zjeżdżać! — tymi to uprzejmymi słowami przywitał mnie dowódca obozu zbórnego w północnej Francji.

"Miły" wstęp nie zdołał mnie jednak odstraszyć od chęci zwiędzenia tej prawdziwej fabryki wojska polskiego — zwłaszcza, że właściciel języka, mającego tylko bardzo niewiele wspólnego z obyczajami Wersalu, jest przecież najlepszym, najpocziwszym, najserdeczniejszym człowiekiem na naszym padole. Pułkownik K. zaproponował mi z miejsca *business*. Ja obiecuję, że ani jednym słówkiem nie wspomnę o nim, a on w zamian za to pokaże mi wszystko w obozie. Złe i dobre. Osiągnięcia i braki. Organizację i bałagan. Wszystko. Bez chwili wahania przystałem na tę propozycję i tylko dla uspokojenia resztek własnego sumienia skrzyżowałem szybko dwa palce lewej ręki, nie wyjmując jej zresztą z kieszeni. To pomaga na początek, a potem będę się musiał zapewne tłumaczyć przed jakimś trybunałem Związku Dziennikarzy.

ZBIOROWISKO POLSKIEJ BIEDY

Obóz zbórny w Lille — mamy dziś takich obozów we Francji trzy — jest takim zbiorowiskiem polskiej biedy, że po dwóch dniach pobytu, po dwóch dniach rozmów z jego przejściowymi mieszkańcami człowiek wyraźnie tępieje. Po prostu przestaje reagować. Ogrom przebytej nędzy, tułaczki, upokorzeń, wszelakich nieszcześć jest tak potworny, tak przytłaczający, że słuchając tych wszystkich opowiadań mimowoli przestaje się odczuwać. A każde opowiadanie, to tragiczny film, to tom książki sensacyjnej, przy czym opowiadający zwykle mówi spokojnie, może nawet monotonicznie, bez jakichkolwiek efektów.

... "Uciekłem więc po raz trzeci, ale mnie złapali i zbili tak, że dwa miesiące leżałem w szpitalu".

... "Od noszenia ciężarów dostałem ruptury, ale lekarz obozowy powiedział, że zwolni mnie z pracy, jak będę miał obustronną, więc musiałem jeszcze przez dwa tygodnie pracować..."

... "Bauer" kazał mi wstawać o trzeciej rano, a kładłem się spać o dziesiątej. Jeść dawał mi tylko dwa razy i to bardzo mało".

... "Spóźniłem się do kopalni o 10 minut. Bili mnie w pięciu po głowie. Podawali sobie jeden drugiemu. Straciłem wszystkie zęby"...

POD ZNAKI NARODOWE

Oto wyjątki z historii nędzy polskiej na przestrzeni od roku 1939 do 1944. Oto przykłady wygnańczego bytowania setek tysięcy, milionów Polaków, którzy sami stracili wszystkich i wszystko, znaleźli potem "dobrodziejstw" cywilizowanego świata. I po latach niedoli, niedającej się opisać słowami, dobijają dziś wreszcie do przystani. Wstępują do Armii Polskiej. Są wynędzniali, ale niezłamani. I uśmiechają się złymi uśmiechami, gdy obiecują sobie wrócić do Niemiec z bronią w ręku.

Nadchodzą zewsząd. Ci, co deportowani do Niemiec, są dziś uwalniani przez idące naprzód sojusznice siły ekspedycyjne. Ci, co pracowali w batalionach Todta. Ci, którym udało się zbiec z internowania. Byli jeńcy i mieszkańcy niemieckich obozów koncentracyjnych. Polacy z Francji, Belgii, Holandii, którzy ochotniczo zgłaszają się do wojska. Z tymi ochotnikami mamy duże trudności, bo elementy nam nieprzyjazne, a zwłaszcza "lubelscy patrioci" nie cofają się przed żadną podłością, aby tylko odstraszyć Polaków od wstępowania do wojska. Ostatnim wyczynem tych "rodaków" było denuncjowanie rodzin ochotników... o współpracy z Niemcami. Były też wypadki eksmisji, szantaży i morderstw.

DZIEWIĘĆ CZASOWNIKÓW

Mimo wszystko idą tysiące. Trzeba ich nakarmić, wykopać,

odwyszyć, przesłuchać, zbadać, zarejestrować, ubrać, zakwalifikować i odesłać do W. Brytanii. Dziewięć czasowników — ale to cholernie ciężkie czasowniki, gdy ma się jedynie do rozporządzenia własne ręce. Tak jest, tylko ręce, bo naprzód tu nie było nic, a nawet dobre chęci spóźnione były o jakichś dobrych parę miesięcy.

Kiedyś spotkałem na ulicy w Brukseli znajomego z Londynu, wspominał mi, że właśnie jedzie z pewną misją do Lille. Że zgłaszają się tam ochotnicy do wojska, ale że nic nie zostało tam przygotowane, że konsulat jest bezradny. I potem tak się złożyło, że spotkałem tego pana ponownie. Zapytałem go o Lille.

— Wreszcie zrobiłem tam porządek — odpowiedział mi. — Rozpedziłem całe bractwo, które tygodniami tylko niepotrzebnie wyciekiwało. Teraz jest spokój.

"Porządek" umiemy robić. Z organizacją tylko jest gorzej. Ale wtedy właśnie przyszedł pułkownik K. Wtoczył się ze swą ekipą do Lille i bez najmniejszego zdziwienia stwierdził, że zapewnienia, które mu dawano w drodze o tym, że rzekomo ostatnie przygotowania zostały zakończone, że właściwie jedzie do gotowego — niebardzo, albo raczej, całkowicie nie zgadzają się z rzeczywistością. Że po prostu nie ma niczego. Ani budynków, ani jedzenia, ani nawet władze nie są uprzedzone o naszych zamiarach. Tylko, że od czasu słynnego obozu w Bessières w roku 1939, gdzie mu echiano spłatać podobnego figla, plk. K. nie można zaskoczyć. Również trudno jest go cokolwiek zdziwić, przy czym wyzbycie się tego uczucia datuje się podobno od dnia 17 września 1939 roku, kiedy to będąc dowódcą pułku KOP, podjechał jako polski parlamentarzysta /zaopatrzone w odpowiednie papiery i białą flagę/ trochę dalej na wschód, aby dowiedzieć się o powodach "ruchu wojsk", a wrócił dopiero po dwóch tygodniach do

Rumunii z dolną szczęką, która do dziś dnia przypomina klawiaturę rozklekotanego Bechsteina.

Bez zaskoczenia więc i bez zdziwienia wzięto się do pracy. Ale co najgorsze, że nie można się było całkowicie oddać błogiej nam twórczości. Nie było dość czasu na planowanie funkcji, etatów, biur, służb, bo ochotnicy walili ze wszystkich stron i trzeba było od razu, od pierwszego dnia wypełniać treścią dziesięciu czasowników. Nie było racji żywnościowych /w zaufaniu zdradzę, że podstępny pułkownik przywiózł ze sobą zapasy na dwa tygodnie, taki to niedowiarek/, a trzeba było dać ludziom jeść. Trzeba było zbadać ich i spisać, a tu ani ołówka ani papieru. Absolutnie nie! Jedynie świerzbić i wszy!

— Doszedłem wtedy do wniosku, że samym kłębem nic się nie da zrobić — opowiada mi pułkownik. — Poklonili się my więc jednemu, poklonili drugiemu, o starych Polakach pogadali. Ludzie tu dobrzy i napić się też lubią... Jakoś się udało!

PIERWSZA PRZYSTAŃ POKOJU

Dziś jest inaczej. Jest wciąż jeszcze źle, ale inaczej. Jest za ciasno i nie ma dość bielizny i nie ma wcale mundurów. Ale jest czysto i jest doskonale, zdrowe jedzenie i dużo papierosów. I pełne racje i zakupy i NAAFI i kantyny polskiej YMKI. Jest koncert i pasta do zębów i świetlica z herbata. Jest biblioteka i radio, pogadanki o W. Brytanii. Są przepustki do domów /jeśli kto ma dom/ i lekcje języka angielskiego. Jest ta pierwsza przystań, do której przecież płynęli od pięciu lat.

Przystań spokoju, wolności od strachu, który przez tyle lat prześladował jakże wielu. Ci dwaj dopiero niedawno wyszli spod ognia artylerii amerykańskiej. Było to pod Julich. Ich kopalnia została zbombardowana, a za nic Niemcy ich przecież karmić nie będą. Wy-

słali ich na front do kopania rowów i zapór przeciwczołgowych. A potem jeszcze dalej naprzód, bo na przedpolu frontu pozostały niezbrane kartofle, a głód tam u nich w obozie był coraz dotkliwszy. Zobaczyli ich Amerykanie. Huknęły działa, więc przykucnęli w jakimś rowku.

I wtedy to po raz pierwszy zobaczyli "dobrych" Niemców. Byli to ich własni dozorczy. "Kamraden" — mówili do nich i przypominali łaszcząc, że oni przecież nie byli okrutni ani zli. Tłumaczyli, że do wszystkiego zmuszała ich ta przebrzydła partia i że woła nawet zginąć u Amerykanów, niż dostać się w ręce S.S. Sprawiedliwy los uczynił zadość temu życzeniu.

A ten Polak mieszkał przed wojną w Belgii. W roku 1940 dostał się do niewoli. Ze *Stalagu* uciekł po dwóch latach. "Poszedł" do Włoch — mówi — po prostu poszedł, aby stamtąd znów przedostać się do Francji, gdzie wstąpił do P.O.W.N. Ktoś zadenuncjował i z więzienia do więzienia zawędrował aż do twierdzy w Liège. Katowali go tam potwornie, a szwagier jego wyszedł z tej kazi zupełnie niezdolny do pracy. Nie, nie Niemcy byli najgorsi. Dużo gorsi byli rexiści spod znaku osławionego zdrajcy Degrelle'a.

Ciekawa rzecz, że z takimi spostrzeżeniami spotkać się można niezwykle często. Cóż to za talent przekłety, że Gestapo potrafi wyzwoić wśród narodów chwilowo podbitych najgorsze, najbardziej zwierzęce instynkty i cudzymi rękami dokonywać aktów najśrodotniejszych. "Gestapo francuise" /wśród jego ofiar znajdują się niestety i Polacy/ dopuszczała się czynów, których zrozumieć nie może człowiek jako tako normalny. "La garde flamande", rexiści, Łotysze, quislingowcy norwescy — wszyscy oni, zdaniem swych licznych ofiar, które już teraz mogą dać świadectwo prawdziwe — starannie wyciągnięci z najciemniejszych nizin, z nędzy i upadku, zna-

leżli w służbie Gestapo naturalny upust dla swych zboczonych, najniższych instynktów, więzionych dotąd w uregulowanym porządku społecznym.

LUDZIE KTÓRZY NIE ZNAJĄ "DOBRYCH NIEMCÓW"

Za nienaszycie na piersi litery "P" groziła kara pieniężna, której wysokość przekraczała wszystkie możliwe normy zarobkowe. W ogóle istniało pewne stopniowanie kar za takie czy inne, prawdziwe czy wymaginowane przestępstwa lub "zbrodnie". Zaczynało się to zwykle od najbardziej przekonującej bicia, a kończyło się na zesłaniu do obozu koncentracyjnego. Ale zaznaczmy tu raz jeszcze to, o czym polscy politycy i publicyści mówili niejednokrotnie — a mianowicie, że to nie Gestapo tylko, nie członkowie partii, nie tacy czy inni bojówkarze brali udział w tępieniu deportowanych robotników. W kopalni rudy pod Hannoverem bili Polaków dozorczy, należący do miejscowej straży ogniowej. W fabryce samolotów w Magdeburgu tępił ich współpracujący robotnicy niemieccy. Katowali ich rolnicy, u których pracowali na farmach. Wszyscy jednakowo. Każdy według swych umiejętności!

Władek Z. jest właśnie jedną z ofiar "Bauera" niemieckiego. Miał lat czternaście, gdy podczas łapanek zabrali go z lekcji wprost ze szkoły w Krakowie i wywieźli do południowych Niemiec. "Bauer" był "wymagający" dla "polskiej świni", choć była wątła i mała. Jeść też nie dawał tyle, aby można było linie stracić. Uciekł więc Władek i był już pod Wrocławiem, gdy go schwytali. Tym razem pojechał do fabryki w Bawarii. Tam dwa lata pracował, a dziś wybiera się do wojska. Ile ma lat? Niebardzo wiadomo. Według moich obliczeń — nie więcej niż siedemnaście, ale Władek twierdzi kategorycznie, że dziewiętnaście, a potem znów podaje jakieś daty, oblicza, dodaje i wychodzi mu za dużo, więc szybko znów odejmuje, stwierdzając, że właśnie "w sam raz" nadaje się do nowoczesnej armii.

KANDYDAT NA SPADOCHRONIARZA

Do spadochroniarzy wybiera się inny, który ledwo od ziemi odrasta i z ręką na sercu nie można mu dać więcej, niż czternaście lat. Ale spryt ma "dubeltowy".

— Niemcy to dla mnie frajerzy — mówi Rajmund Sł., wydymając pyszne wargi. — Ze mną nie potrafili sobie dać rady. Bo proszę pana ja im sześć razy uciekałem, a gdy mnie znów złapali i zamknęli w więzieniu w Rostoku i zabrali na dodatek spodnie, to im siódmy raz bez spodni uciekłem.

Jak z Rostoka dowiedział się do Cherbourg'a — Bóg tylko raczy wiedzieć. Ale był w Cherbourg'u i "zaciągnął" się tam do armii amerykańskiej.

— Jakie kławy mundury ja tam proszę pana miałem. I hełm i karabin mi nawet potem dali.

Co tam robił? To niedyskretne pytanie zbywa milczeniem.

— Przez pięć miesięcy proszę pana ja u Amerykanów służyłem, a jak wjeżdżaliśmy do Akwizgranu, to wszyscy Niemcy się tylko gapili, co to za żandarm taki jedzie...

— Toś ty żandarmem w armii amerykańskiej był? — pytam z niedowierzaniem.

— Naturalnie! Ja w żandarmarii pięć miesięcy proszę pana pracowałem... Przy kuchni im tam pomagałem, przy skrobianiu kartofli!! Ale teraz już dosyć tego. Teraz idę do spadochroniarzy — kończy swe posłuchanie Rajmund.

Z obozu wyjeżdżam z mieszanymi uczuciami. Ogromny smutek zasłyszanych historii spłata się z radością z powodu uratowania tych ludzi. I oni chętnie chcieliby najprędzej zapomnieć o koszmarnych przeszłości. Są całkowicie nastawieni na swe przyszłe życie. Idą do armii. Idą tysiącami, a te tysiące są dla nas tak bardzo cenne, tak konieczne, tak może decydujące.

I dlatego Fabryka Wojska spełnia dziś wielkie zadanie.

Dwie ceremonie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Po raz pierwszy od lat kilku z powrotem otworzyły się wielkie salony ambasady polskiej przy ulicy Talleyrand w Paryżu. Po raz pierwszy od lat zapelnili się tłumem. Tłumem zupełnie swoim.

Gdzie niegdzie jedynie dostrzec można było cywila; panowały wszeczwładnie różnokolorowe mundury. Byli Angliecy i Holendrzy, Amerykanie i Belgowie. Gdzie rzuciłeś okiem — widziałeś wysokiego oficera jednej z armii sprzymierzonych, obwieszzonego orderami, nieczym choinka. Przeważały jednak mundury francuskie i polskie. Te ostatnie zresztą urozmaicone nie tylko orderami, ale i odznakami, mówiącymi tak wiele o historii wojska polskiego. Obok złotych krzyży na czarnym tle — odznaki ósmej armii Montgomery'ego — widziałeś syreny warszawskie na tle amarantowym — nową odznakę drugiego Korpusu. A kilku oficerów miało nową odznakę, bodaj do dziś nieznaną w Wielkiej Brytanii: Krzyż lotaryński na tle biało-amarantowym. Ta ostatnia odznaka świadczy, że ten, co ją nosi walczył o Polskę we Francji okupowanej, że był towarzyszem broni *resistance* francuskiej.

Dominowały mundury w ambasadzie nie tylko dlatego, że dziś jest wojna i że narody są zmobilizowane. Dominowały dlatego, że uroczystość była wojskowa. To generał Anders miał dekorować francuskiego generała Juina srebrnym krzyżem "Virtuti Militari", a generał Juin generała Andersa komandorią Legii Honorowej i Krzyżem Wojskowym z palmami.

Obaj generałowie znają się od dawna, od czasu, gdy jako młodzi oficerowie studiowali w Wyższej Szkole Wojennej w Paryżu. Generał Anders, młodszy od generała Juina, rozpoczynał tam swe studia w chwili, gdy ten ostatni je kończył. Losy potem ich rozdzieliły, aż spotkali się znowu we Włoszech w ramach tej samej armii.

I pod Monte Cassino to po generale Juina generał Anders objął odznakę, który tyle sławy ożreżowi polskiemu przysporzył.

Gwar milknie. Nadchodzi moment dekoracji.

Generał Juin staje na baczność przed generałem Andersem. Ten ostatni spręży się i donośnym głosem wypowiada sakramentalną formułę "*Au nom du President de la Republique et en vertu des pouvoirs qui me sont conférés je vous decore de la croix d'argent de Virtuti Militari*", po czym przypina na mundurze generała Juina prosty krzyż. Juin odpowiada głosem tak cichym, że słów zrozumieć nie można.

Chwila przerwy i generał Anders z kolei staje na baczność. I znowu formuła: "*Au nom de la France /Francja dziś nie ma oficjalnie głowy państwa/ et en vertu des pouvoirs qui me sont conférés je vous decore de la croix de commandeur de la Légion d'Honneur et de la Croix de Guerre avec palmes*". Adiutant generała Juina zawiązuje generałowi Andersowi na szyi szeroką purpurową wstęgę Komandorii Legii. I "accolade" — pocałunek z dubeltówki, stanowiący część ceremoniału francuskiej dekoracji.

Ceremonia oficjalna skończona. Goście rozchodzą się po salonach, podchodzą do bufetu. Fotografowie pakują swe aparaty, dziennikarze chowają swe notatniki, gesto zapisane.

Ceremonia skończona. Ale ślad jej zostanie. Dobrze jest, że pierwszą oficjalną manifestacją polską na gruncie francuskim była właśnie ta podwójna dekoracja.

Francja była przez cztery długie lata odcięta od świata. Francja mało, zbyt mało wie o tym, co się przez te cztery lata działo poza jej granicami. Gdy się opowiada Francuzom, nawet bardzo inteligentnym, o tym, co się w Polsce działo i dzieje, gdy się im opowiada o naszym olbrzymim wkładzie w tę wojnę, otwierają zdumione

oczy.

To ta nieznaną sytuacją tłumaczy się, że cały szereg ludzi Polsce szczerze życzliwych dał się w najlepszej wierze wciągnąć do organizacji *Amitiés Franco-Polonoises*, będącej ekspozyturą Lublina. Widzieli bowiem w tych wyślanach lubelskich — którzy oczywiście występowali jedynie jako "patrioci" — po prostu Polaków, którym należy okazać sympatię dla Polski. Tak się zresztą jeden z tych oszukanych przede mną tłumaczył.

Trzeba więc tutaj na tym terenie francuskim pracować nad tym, by rozwiązać nieświadomość, by pozyskać zrozumienie dla sprawy polskiej, by z powrotem nawiązać zerwane nici.

Cóż w tych warunkach może być bardziej wymownego, niż taka podwójna dekoracja, podkreślająca ciągle trwające braterstwo broni między armią francuską, a armią polską, podkreślająca, że dziś, jak i przed laty pięciu żołnierz polski walczy nadal ramieniem przy ramieniu z żołnierzem francuskim? I to właśnie żołnierz "rządu londyńskiego".

Kilka dni później nowa ceremonia. W Bibliotece Polskiej otwarcie wystawy dzieł dwóch artystów polskich, zmarłych we Francji, pod okupacją: Józefa Pankiewicza i Olgi Boznańskiej. Znowu jest tłumno, choć tym razem mundury są rzadkością. Jeden z konserwatorów Louvre'u czyta studium, w którym mocno podkreśla zasługi Pankiewicza, jako tego, który związał sztukę polską ze sztuką francuską.

I ta ceremonia jest więcej, niż zdawkową uroczystością. Jest symbolem naszej jedności kulturalnej z Zachodem. Jest jednym z ogniw tego nowego powiązania naszego z Francją, o które musimy się starać.

MICHAŁ PROZOR

MACIEJ FELDHUZEN

Polska poezja wojenna

INSUREKCJA KOŚCIUSZKOWSKA

(1794)

DO RACŁAWIC* ROZPRAWA Z IGELSTRÖMEM*



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

Różni ludzie przychodzili,
Po drodze stawiali,
Wedle stanu za Ojczyznę
Co mieli dawali.
Szlachcic przywiódł konia z rzędem
Od srebra, od złota;
Na wojaka, jedynaka,
Niewiastę sierotą;
Pokłoniła się do ziemi
Przed starszymi wdową,
Chciała gadać, rozpowiadać
Zabrakło jej słowa;
Jedno tylko wymówiła,
Rzewną łzą zalana:
Łat szesnaście chłopiec skończy
Na Świętego Jana.

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery;
Madaliński z hulanami,
Potem kosyniery,
Przyciągnęli przed kościołek,
A ksiądz stoi w progu.
"Mili bracia, — rzekł Kościuszko,
— Pokłonmy się Bogu".
Jakby wicher nagły powiał
Pośrodkiem dąbrowy,
Schylił się wszyscy ludzie,
Czapki zdjęli z głowy.
I pod ścianą
Malowaną
Ustawili kosy.
Jak ustawią dziecię w lecie
Złote zboża kłosy.
I w natłoku,
W każdym oku
Radość i swoboda;
Kmieci pieśni
Bóg poszczęści.
W bitwie mocy doda.
Kosyniery, pikiniery
I polska piechota,
Matka Boska patrzy na nich,
Suknia na Niej złota;
Z srebra lana,
Pozłacana,
Maryji sukienka;
Oj łaskawie mówi prawie
Najświeższa Panienka.
W każdą stronę
Obrócone
Oczy wciąż powleka;
Kto się żali,
Choć najdalej
Dopatrzy człowieka.

* Fragment z "Bitwy racławickiej".

Idą, idą prostą drogą,
Chorągiewki warczą,
Rwą się konie,
Ku tej stronie,
Wstrzymać ich nie starczą.
Przypatrzą się chłopię małe
Tej polskiej konnicy,
Byś wiedziało, jak to śmiało
Patrzą wojownicy.
Jakie konie,
Jakie bronie,
Jaki przydziewek;
Przeglądają się polskim twarzom.
Ucz się polskich śpiewek!
Kosyniery,
Naród szczery,
Choć to nie żołnierze;
Ale u nas wszystko żołnierz
Co broń w rękę bierze.
Podkówkami krzeszą, śpieszą,
Za ojcem Kościuszką,
Jedni ludzie ciągną drogą,
A drudzy przydróżkiem,
Ów przygrywa,
Czapka siwa
Na bok mu się zwiesza:
Skrzypka mała,
Byłe grała,
Żołnierza pociesza...

Do Racławic ciągną nasi
Po cztery, po cztery,
Madaliński z hulanami,
Potem kosyniery,
Przyciągnęli przed kościołek,
A ksiądz stoi w progu.
"Mili bracia, — rzekł Kościuszko,
— Pokłonmy się Bogu".
Jakby wicher nagły powiał
Pośrodkiem dąbrowy,
Schylił się wszyscy ludzie,
Czapki zdjęli z głowy.
I pod ścianą
Malowaną
Ustawili kosy.
Jak ustawią dziecię w lecie
Złote zboża kłosy.
I w natłoku,
W każdym oku
Radość i swoboda;
Kmieci pieśni
Bóg poszczęści.
W bitwie mocy doda.
Kosyniery, pikiniery
I polska piechota,
Matka Boska patrzy na nich,
Suknia na Niej złota;
Z srebra lana,
Pozłacana,
Maryji sukienka;
Oj łaskawie mówi prawie
Najświeższa Panienka.
W każdą stronę
Obrócone
Oczy wciąż powleka;
Kto się żali,
Choć najdalej
Dopatrzy człowieka.

TEOFIL LENARTOWICZ

POBUDKA KRAKUSÓW

1
Dalej chłopcy, dalej żywo,
Otwiera się dla nas żniwo,
Rzućwa plugi, rzućwa radło,
Trza wojować, kiej tak padło.
Niech kobieta gospodarzy,
Niech pilnują roli starzy;
My parobcy, zagrodniki,
Rzućwa cepy, bierzwa piki!

2
Bierzwa kosy, bierzwa dzidy,
Otrząsnijmy się z tej biedy.
Bijma wszyscy wraz Moskale,
Bo nas się dość natyrali!
Nauczma szoldrę nygusa,
Ze i w nas jest polska dusza;
Jeszcze nasza polska kosa
Potrafi im utrzyć nosa.

3
Wymłóćim ich jako snopy —
Cóż to? Bośmy to nie chłopcy?
Już ich strzelali za katy
Przy Słomnikach nasze braty.

Zsiekli, skłuli, zmordowali,
Harmaciska odebrali,
Odebrali konie, bryki,
Dukaciska i rubliki.

4
A ci, co byli zwawymi,
Pozostawali starszymi;
Głowacki, co był Bartosem,
Chodzi teraz, jak pan z trzosem.
I Gwiżdżickiemu niczego —
Nie daleko i nam tego.
Hej no chłopcy, pojdźma i my,
Naszej się krzywdy pomścimy.

5
Jeszcze i nam Bóg poszczęści,
Nie żatujmy na nich pieści;
Mamy w ręce po pięć palców,
Bijma dobrze tych zuchwalców.
Poprzedajma woły z wozem,
Śpieszma wszyscy za obozem,
Poprzedajma i poduszki,
A przystajma do Kościuszki.

POD SZCZEKOCINAMI

Widzi Moskwa, że nie sprostą,
Gdzie odwaga taka,
Więc do boju, na Kościuszkę
Przyzywa Prusaka.
Wieją orły, świecą kosy
Cichymi polami,
Stanął z wojskiem pan Kościuszko
Pod Szczekocinami.
Wpadła na nich jazda wroga,
Jak gradowa chmura,
Krzyczą nasi: "W imię Boga!"
Krzyczy Moskwa: "Hura!"
Jak dwa wichry, tak się starli,
Aż z krwi poszła para,
Przelamala jazdę wroga
Nasza dzielna wiara!
Świszczą szable, błyszczą kosy,
Aż się oko mruży...
Wtem zahucza pruskie działo,
Jako grom wśród burzy.
Zachwiały się w rękach szable,
Zachwiały się kosy,
Pokryło się pole trupem,
Jak krwawymi kłosy.
Jak lwy, tak się rzuca nasi
Na pruską redutę,
Kosyniery pędzą w błyskach,
Dymami osnute.
Widzi, widzi pan Kościuszko,
Jak się jeli walić,
Do odwrotu trąbić kazal,
Żeby lud ocalić.
Trzykroć tyle było wroga,
Trzykroć większa siła,
Armatami i bagnietem
Na naszych tam biła.
Tam Wodziecki padł general,
I Grochowski dzielny,
A Sanguszek tam osłaniał
Odwrot nieśmiertelny.
Ściągają się kosyniery,
Mężne hufce nasze,
Ale jeszcze w drodze rażą
Kosy i palasze.
Oj, ty pole szczekocińskie
Trupami zasłane,
Nie zadatoś ty nam hańby,
Lecz szlachetną ranę!

KRAKOWIAK

Ja Krakowiak, ty Krakowiak,
I co z tego będzie,
Jeśli obaj będziemy siedzieć,
Jak kury na grzędzie?
Żem Krakowiak i krakowskiej
Darmo nie jem kase.
Chodźwa ino, spytajwa się,
Kiej te ziemie nase?
Kiej Mazowse, kiej Kujawy,
Kiej ziemia prosowska,
Kiej ta Litwa, Ukraina
I ta cała Polska?
Bywa za to dobre lato,
Kiedy kiepska ziemia —
Chodźwa ino, spytajwa się,
Abo nas to nie ma?
I ty, Maciek, zleż z za pieca,
Zdejm kosę z opalką,
Na storc nastaw na Moskala,
Pociągnij osekłą.

W nr. 6 "Polski Walczącej" z b.r. daliśmy w cyklu "Polska poezja wojenna" szereg utworów dotyczących konfederacji barskiej. Kolejno poświęcamy dzisiaj stronę powstaniu kościuszkowskiemu.
Hasło do powstania dał akt krakowski Tadeusza Kościuszki z dn. 24 marca 1794 r. Dn. 4 kwietnia odniósł on pod Racławicami zwycięstwo nad gen. Tormasowem; odznaczył się w nim chłop Wojciech Bartos, uzyskując stopień podchorążego i nazwisko Bartosz Głowacki. Wybuch powstania w Warszawie nastąpił dn. 11 kwietnia. Położył tu wielkie zasługi szewc Jan Kiliński; pod jego przewództwem lud i wojsko wypędziły po dwudniowej bitwie załogę rosyjską i generała-ambasadora Igelströma. Dn. 6 czerwca Polacy ponieśli klęskę pod Szczekocinami w walce z połączonymi siłami prusko-rosyjskimi. Dn. 10 października Kościuszko dostał się do niewoli po przegranej pod Maciejowicami, a dn. 21 listopada Suworow zdobył Pragę. Nastąpiła straszliwa rzeź ludności i kapitulacja Warszawy. Powstanie ostatecznie upadło. Przyszedł trzeci rozbiór.
Dajemy tutaj wyjątki z poematu Teofila Lenartowicza "Bitwa racławicka" /Lwów 1890/ i z poematu Wincentego Pola "Historia szewca Jana Kilińskiego" /"Dziela", t. IX. Lwów 1878/, oraz kilka utworów anonimowych /według "Powstania kościuszkowskiego" w opracowaniu Alicji Belcikowskiej /Warszawa 1931/. Ilustracje zacierpniemy z książki Artura Śliwińskiego "Powstanie kościuszkowskie" /Warszawa 1922/, z monografii Kazimierza Bartoszewicza "Dzieje insurekcji kościuszkowskiej" /Wiedeń 1909/.

Więc Igelström pomiarkował,
Gdy go naród tak zamroczył,
Że nie żarty — więc się schował
I wojskami się otoczył.

Pułk Działyńskich mu dojadł:
W tym to miejscu pięć tysięcy
Moskwy było, albo więcej —
Więc nasz żołnierz gęsto padał.

Tam kto w życiu nie znał cudu,
Sporządź było na bój ludu!
Bój pod Świętym Krzyżem wiedli —
Pułk Działyńskich walczył szczerze;
Lecz i wtedy go nie zjedli,
Więc Kiliński tył im bierze,
Saskim kopnął się dziedzinem
I otoczył Moskwę wieńcem.

Więc rozjadły lud niemarnie
Z trzech się ulic razem garnie —
Więc jak szatan prosto w oczy
Całym piekłem Moskwę toczy,
Więc i Moskwy też nie stało.
A na polu już stopniały,
Pułk Działyńskich poczerwiał
Pod Zygmuntem stanął z chwałą.

Więc i naród wytchnąć raczył,
Bo z południa już też było,
A na pewne już osaczył
Resztę Moskwy całą siłą.

A więc bajki proste szyki,
Tarabany i komendy,
Byłe szczerze, bez oględy,
Bez praktyki, bez taktyki,
Tylko z wagą i odwagą,
I sumiennie i niezmiennie.
I serdecznie, obosiecznie;
Ostro, żywo i pocziwo,
A więc zawsze rzecz się uda,
Bo Bóg jeszcze robi cuda.

* * *

I tak było Bogu dzięki!
Ale głos się ozwał z tłumy;
"Więc do boju trzeba ręki,
A do rady trzeba rozumu" —
Więc na ratusz się udali
I starszyznę wnet obrali.

Bo nic z tego, gdy się zrywa
Człek po jeden ku niezgodzie,
Bo tam tylko rozum bywa,
Kiedy zgoda jest w narodzie.
Prawda jedna jak lud jeden —
Lud ratujcie — bo lud bieden!
Toż lud na to wiedzie boje,
Aby lud miał prawdę swoją —
Kto ludowi prawdę skąpi,
Więc niech lepiej sam odstąpi.

A więc naród się obliczył,
I czuł, kto mu dobrze życzył.
"Pan Zakrzewski niech w pokoju —
Rządzi naród i Warszawę;
Mokronowski niech do boju —
Pospolita wiedzie sprawę;

* Fragment z "Historii szewca Jana Kilińskiego".



JAN KILIŃSKI

Więc i dobrzy! Niech nam żyją!
Niech nam radzą! Niech nam biją!
A Kościuszkę Bóg sprowadzi —
Wykrzyknęli wszyscy radzi,
I na powrót znów do dzieła.

Lecz już noc się nasunęła,
W koto Moskwę naród czyha
I wartuje — Moskal wzdycha,
Warty chodzą — nocną porą,
Po Warszawie ognie gorą,
Po ulicach ciche jęki.
I skonaniami ciche męki —
Jak bezsensownych ócz żrenica
Czuwa polskich ziemie stolica —
Chwilą boju niedaleka,
Każdy tylko światu czeka.

* * *

Dobry piątek na początek,
Więc też niezły i do końca —
Huknął lud o wschodzie słońca,
Więc do reszty, jak w kwintecza —
Bo ten tylko, co przy sile,
Pisze pokój na mogile,
Dobro kraju ubezpiecza.

Więc jak razem wyruszyli,
Jak z kopyta się kopnęli,
Co ubili, to ubili,
A w niewolę resztę wzięli.

Więc Igelström uszedł skrycie,
Bo u tchórza wieczne życie.
Ten bez ucha, ów bez ręki,
Po ulicach lud się wodzi
Z niewolnikiem — placze, jęki!
— "Nie to bratku, nie nie szkodzi —
Nikt nie będzie się litował;
Lud czyścicowe cierpiał męki,
A tyś ludu nie żalował!"
Więc tak lud się wziął siaraczysto
W Wielki Czwartek do roboty,
Całe miasto do soboty,
Jak Bóg kazal, wymiółł czysto.

WINCENTY POL

KRAKOWIAK KOŚCIUSZKI

1
Bartoszu, Bartoszu,
Oj, nie traćwa nadziei.
Bóg pobłogostawi,
Ojczyznę nam zbawi.

2
Tam w górę, tam w górę,
Poglądaj do Boga:
Większa miłość Jego
Niżli przemoc wroga.

3
Z maleńkiej iskierki
Oj, wielki ogień bywa,
Oj, pękna, choć twarde,
Przemocy ogniwa.

4
Oj, ostre, oj, ostre,
Oj, ostre kosy nasze,
Wystarczą na krótkie
Moskiewskie palasze.

5
Kiliński był szewcem,
Oj, podburzył Warszawę,

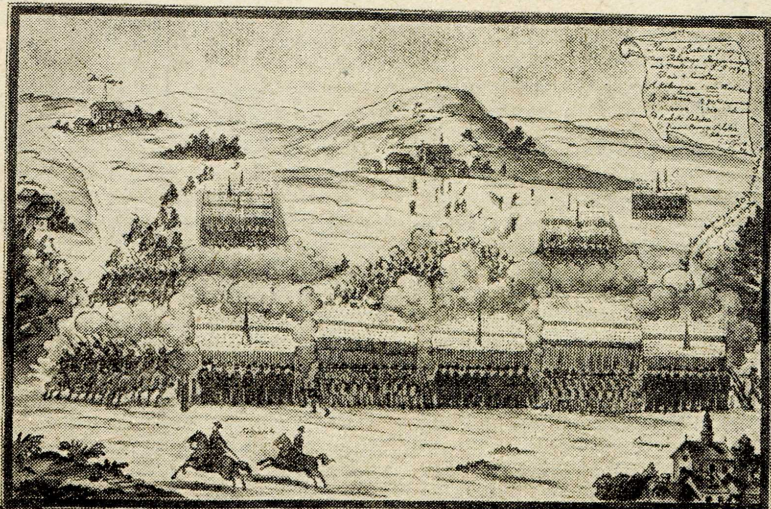
Wyprawił Moskalom
Weselisko krwawe.

6
Nauczył Kościuszko,
Oj, pod Racławicami,
Jak siekierą, kosą,
Rozprawiać z wrogami.

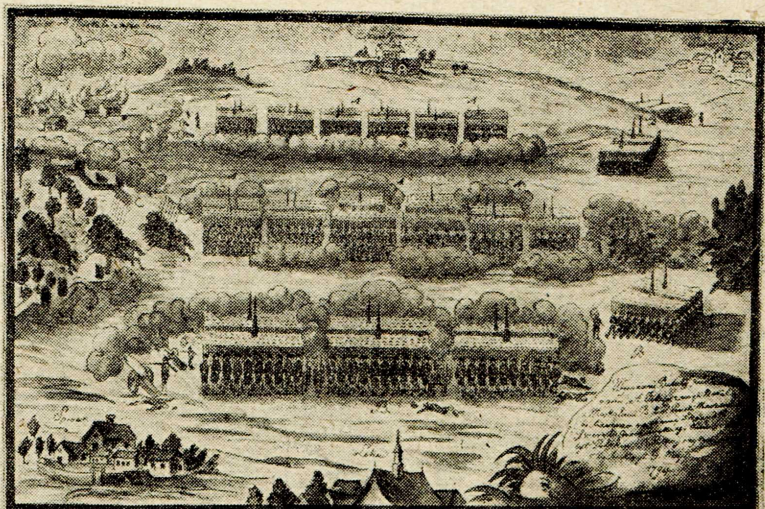
7
Bóg nam dał, Bóg nam dał,
Oj, kraj wielki, bogaty,
W nim Głowackich wielu
Brac ruskie armaty.

8
Wszystko wziął podły wróg
I wiare nam klóci,
Myśli, że nas dusza
Do siebie nawróci.

9
Nie chcemy berlińskiej
Ni petersburskiej wiary,
Bóg nam dopomoże
Pobić króle, cary!



PLAN BITWY POD RACŁAWICAMI
rysunek Stachowicza



PLAN BITWY POD SZCZEKOCINAMI
rysunek Stachowicza

Spotkanie z ochotnikami z Polonii francuskiej



Prezydent R.P. wśród ochotników z Francji i Belgii

Tym razem, aby się z nimi zobaczyć, wyjeżdżam do Szkocji. Jest bardzo mglisty, niby to zimowy dzień, z rodzaju tych, które odbierają ochotę do myślenia, czy jakiegokolwiek innego wysiłku.

Podobnie było wtedy, gdy kilka już miesięcy temu oglądałem w jednym z portów angielskich pierwsze transporty ochotników z Francji. Pisałem potem o Franciszku Koźle, zawsze gotowym do stawiania w potrzaski ochotnika. Pisałem o perspektywach, które powinny się przed nim otworzyć z chwilą opuszczenia pokładu okrętowego, pisałem dalej, o jaką to ziemię bić się przyszedł i o jakie granice.

Dzisiaj zaś rano zakomunikowała nam prasa angielska o wynikach spotkania Wielkiej Trójki. I niemal że w minutę po przeczytaniu komunikatu zajechał mały wojskowy samochódzik, by zawieźć mnie do jednego z obozów. Jechałem naprawdę z ciężkim sercem. Pocięszalem się najwinnie, że o tak wczesnej porze dzienniki nie dotarły jeszcze do obozu, a radia nie wszyscy słuchają, chociażby ze względu na zajęcie. Świeżo upieczony podporucznik pierwszy może raz od chwili wstąpienia na drogę "kariery" wojskowej myślał z zadowoleniem o tym, że w wojsku tak mało pozostawiają czasu na prywatny użytek. Ja w każdym razie nie mam zamiaru być pierwszym zwiastunem wiadomości. Pozostawiam tę przyjemność innym.

Tymczasem mgła z lekka się przetarla. Samochódzik wspina się

nie źle po dosyć stromej szosie, a do obozu mam zaledwie — kilka mil. Kierowca poczęstował mnie papierosem. Co za Wersal w tej Szkocji. Zapaliliśmy i oczywiście zaczęła się rozmowa na temat obozu i ochotników. Takich obozów jest już kilka, rosną jak grzyby po deszczu i napełniają się predko. Oczywiście to punkty przejściowe, zasilające przeróżne wojskowe organizmy.

I oto już brama obozu. Prześiąknięty wilgocią wartownik sprawdza na wszelki wypadek moje papiery. Wszystko w porządku.

Wjeżdżamy do obozu. Obóz jest niezmiernie rozległy, poprzecinany asfaltowymi wstawkami dróg. Pod drzewami blaszane beczki, przypominają dawne czasy, kiedy to stało się na straży szkockich brzegów. Właściwie dobre to były czasy. Jedziemy do dowództwa widnego z daleka pod flagą na wysokim maszcie.

Po drodze nie spotykamy prawie nikogo. Baraki także robią wrażenie wyludnionych. Za to gdzieś z daleka, od strony hangarów /dawniej było tu lotnisko/ dola tuje melodia dobrze znanej piosenki. Tej samej, która towarzyszyła nam wiernie na koczastych pagórkach Bretonii, kiedy to czołówek całkiem innymi oczami patrzył i na wojnę i na jej cele i na upragniony dzień, w którym wolność złotym deszczem miała nam nad głowami wybuchnąć. Piosenka o Madelon. Przyszła tu z Kanału raz jeszcze, aby uśmiechem

okraszyć usta nowych żołnierzy Rzeczypospolitej.

Komendant obozu, informuje mnie uprzejmie, że wojsko właśnie jest na ćwiczeniach i trzeba cierpliwie poczekać do przerwy obiadowej. Doskonale. Odmeldowawszy się sprężyscie, powędrowałem, wiedziony nieomylnym instynktem, jakby nie było pięcioletniego żołnierza, w stronę kuchni. Wiem, że sam widok kotła usposabia do gadania, a kucharkę to zazwyczaj rozmowne i miłe towarzystwo. Oczywiście jeśli się ich odpowiednio "zażyje". Pierwsza zasada, to nie zagłądanie do garnków. Chyba dopiero po nawiązaniu przyjacielskich stosunków.

Amerykańskie papierosy okazały się przy tej operacji znakomitym paszportem. Potem już rozmowa potoczyła się gładko: że przyjechali trochę zbiedzeni, jak zresztą większość przybyszów z Kontynentu, że ubranka takie sobie, raczej średnie i wiatrem podszyte, że niektórzy przywieźli prawdziwe polskie mundury, że przeważnie strasznie młodzi i garnie się to szczerze do wojska. Zresztą wojsko — to dla większości zupełna nowość. Prawdziwy, nieklamany rekrut. Tylko nieliczni należeli do tajnych organizacji wojskowych we Francji. Przeważnie ci najmłodsi. Franków przywieźli trochę, ale nie zawiele.

Zapytałem ostrożnie o ten przysłowiowy komunizm. Dawnymi czasy bardzo o nim lubieli rozpowiadać niektórzy panowie. Dostając odpowiedź przeczącą: — "Mówi nie ma, oni raczej przed tym właśnie komunizmem uciekali, jak jeden z drugim często przyznaje. W ogóle fajne chłopaki. I apetyty mają pierwsza klasa".

Widząc, że rozmowa samoczynnie jakoby schodzi na tematy zawodowe, poczułem, że nadszedł moment i sięgnąwszy raz jeszcze do "amerykanów" poczułem się upoważniony do zerknięcia na zawartość kotłów bulgocących przyjemnie. Oczywiście zupka, kartofle, marchewka na słodko i tak zwane "granaty" — pękate kotlety z mielonego mięsa. A obok w osobnym, uroczystym naczyniu chłodzi się kompot. Jednym słowem przepisowy obiad z prowiantu Króla Jęgości. Nie dziwię się, że chłopaki mają apetyt, szczególnie po kilku latach kontynentalnej głodówki.

Ale otóż i oni. Z baraków wlatywały zaczęły, pobrzękując meznazkami długie, zielone szeregi.



Najmłodsi synowie Polonii Francuskiej w jednym z obozów w Szkocji

Strzępy piosenek, pogwizdywanie, mieszane rozmowy polskie i francuskie. Zmienił się François Kozioł i jego wojenny koleś. Siła i uśmiech i nadzieja idzie sobie po wilgotnej drodze pobrzękując w menażki. Dotychczas nie zawiedziono w niczym ich oczekiwań. Są w wojsku, prawdziwym polskim wojsku, mają porządną mundur na grzbiecie nie mówiąc już o naszywkach "Poland", która jest czymś zupełnie innym, mają doskonałe buty i ciepłe rękawice, mają dostatecznie ogrzane kwatery, a teraz idą sobie oto po zapracowany solidnie obiad. Tyle korzyści materialnych. A inne? Nie potrzebuję o nich pisać. Każdy Polak wie dobrze, co to znaczy, w czasie wojennym dostać karabin w rękę i orzelka na czapkę.

Już są przy kotłach, już hałaśliwie, przepisowo fasują. Patentowani żołnierze, pomyślał świeżo ubezpieczony podporucznik, a bardzo długoletni starszy strzelec /to znaczy ja/. Jak ci z Bretonii, jak ci z Biggar i Cupar. Jak wszyscy Polacy.

Wieczór wchodzi nieśmiało do pięknej sali, całej czerwonej i złotej od sztandarów. Na drzewach srebrne orły. Pod ścianami gablotki pełne dziwnie drogich pamiątek. Jakies wstążki, helmy, ordeiry, jakieś orzelki niezdarnie wycinane z pudełek od konserw. Tu Tobruk, tam Szkocja, tam znowu Norwegia. Muzeum Wojska Polskiego. Oparty na jednej z gablotek kończę pisać. Obok polowe łóżko uprzejmie wstawione przez gospodarzy zaprasza wymownie do

spoczynku. Bo na dzisiaj muzeum ma być moją kwatery.

Całodzienny pobyt w obozie, na wietrze i deszczu zrobił swoje. Do trochę sennej głowy zaczynają się pchać dziwaczne myśli. Tutaj koniec, laur, uwiecznienie minionego czynu, a tam początek, narodziny, start. Jacy oni naprawdę strasznie młodzi. Przed oczami jeszcze raz przesuwają się twarze. Są bez przesady, bez reklamy i patosu — zadzierzyste. Są otwarte i chętne. Nie powinien osiąść na nich nigdy cień zawodu. Przyszli z różnych okolic Francji. Przeważnie górniccy. Niektórzy w tajemnicy przed rodzicami zrobili ten skok przez Kanał. Trzeba im rodziców rzetelnie zastąpić. A wojsko to zrobić potrafi. Jest im dobrze.

A przyszłość? Odpowiedź może potrafią dać otaczające mnie gablotki i sztandary, dzieci prawdziwej chwały i upartego ponad wszystko, ponad rozum nawet bohaterstwa.

Jakoś nie klei mi się ten raportaż. Powiniennem właściwie pisać tylko o obozie, dać skrawki jakichś rozmów, wyłowić typy najciekawsze, historie oryginalne. Żeby to czytelnika zaciekawiło. Przepszałem bardzo, jakoś dzisiaj nie potrafię. Może to winno zmęczenie, może ta dziwna kwatery-muzeum nasuwa niepotrzebne, odbiegające od tematu refleksje. A może to poranne sprawozdanie ze spotkania światowych matadorów wbiło się ostrym gwoździem gdzieś w tył czaszki, do samego mózgu i siedzi. Siedzi mocno.

JAN ROSTWOROWSKI

Wyprawa na Kassel

Powróciwszy z wyprawy na Kassel wszyscy mieli kwaśne miny. Załoga Gruszki kłóciła się o coś ze swoim skipperem, który z ironią w oczach i uśmiechu, oraz z pełną gębą sandwiczów spoglądał po obecnych i raz po raz oświadczał, że takiej kompromitacji jeszcze nie było.

—Ale chcieliście, to macie. Guzik w morzu zobaczyli i zaraz — ważna historia: zbaczając z kursu, meldować, raportować! ... Jeszcze tylko brakowało, żebyśmy się nad cel spóźnili.

—No, ale nie spóźniliśmy się — zauważył łagodnie radiotelegrafista.

—Nie spóźniliśmy się ... Jakbym nie zobaczył w ostatniej chwili tych białych markerów, to ciekawym gdziebyście wszyscy rzucili bomby z siedmiu maszyn!

Kilku nawigatorów i bombardierów westchnęło znacząco. Właśnie co do tych "białych markerów" wszyscy mieli wątpliwości, niektórzy zaś utrzymywali, że to w ogóle nie były markery, tylko zwykłe flary. Markery bowiem miały być czerwone ...

Załogi kolejno przechodziły do pokoju oficera wywiadowczego i składały sprawozdania. Z twarzą Anglika zapisującego te zeznania trudno było cokolwiek wyczytać: dobrze zrobili, czy źle? Tak czy inaczej — trzeba było opowiedzieć o wszystkim, i nie pomijać niczego.

Gruszka wiedział, że musi wziąć to na siebie. Był dowódcą załogi. Namówili go i uległ im niepotrzebnie, ale to już była sprawa wewnętrzna. Wobec Anglików tylko on był odpowiedzialny.

—To było tak — mówił, marszcząc się, jakby mu komar siedział na nosie. — Jak tylko wyszliśmy na morze, o tutaj — pokazał na mapie — nasz bombardier zobaczył jakieś światła w kierunku po-

łudniowo-wschodnim. Wyglądało to jak reflektory samochodu, który jedzie po szosie. Ale ponieważ pod nami było morze, z wrodzoną nam bystrością umysłu doszliśmy do wniosku, że to nie może być samochód.

—Słusznie — zgodził się oficer wywiadowczy.

—A cóż może świecić, jak reflektor na morzu? — ciągnął dalej Gruszka. — Tylko okręt. A skądże do pioruna okręt, kiedy nikt nas o tym nie uprzedzał w czasie odprawy, że będziemy mijali jakieś okręty? Ano — jasna rzecz: okręt nieprzyjacielski, o którym nasze władze nie a nie nie wiedzą. No to trzeba zobaczyć z bliska. No i zobaczyliśmy. Pozycję już podaliśmy. Tak zgadza się: długość ... szerokość ... dwa okręty ... No

więc.

—Strzelali do was? — zapytał oficer.

—Ma się rozumieć, że strzelali — odpowiedział Gruszka, hamując nurtującą go złość. — Strzelali wcale nieźle; zapewne, żeby nam dać do zrozumienia, że absolutnie nie życzą sobie, aby ktokolwiek nad nimi przelatował. Ponieważ poza tym znacznie zboczyliśmy z kursu, trzeba było poganiać. No i poganialiśmy, ale to niewiele pomogło i nad cel przybyliśmy z kilkunastominutowym opóźnieniem. Chmury były, a jakże. Celu nie widać. Wszystko się zgadzało, jak było powiedziane na odprawie. Tylko markery się psiakrew nie zgadzały.

—Co pan chce przez to powiedzieć? — spytał oficer.

—Chcę przez to powiedzieć, że były białe. Nie czerwone, tylko białe. Ale położenie ich zgadzało się z naszymi obliczeniami, więc bombardowaliśmy na te białe markery.

—Hm ... — chrząknął oficer. — A celnie?

—Albo ja wiem? — odrzekł Gruszka. — Chmury były, więc nie widzieliśmy. W każdym razie i tam dawano nam niewzruszenie do zrozumienia, że nasza obecność w powietrzu jest zupełnie niepożądana. Chcę przez to powiedzieć — dodał — że Niemcy prali do nas ze wszystkich stron. To by było wszystko.

Podobne sprawozdania złożyło sześć pozostałych załóg, które brały udział w nalocie na stację przelotową w Kassel. Każda z nich

spóźniła się trochę; każda bowiem widziała podejrzaną okrętą na morzu u wschodnich wybrzeży Anglii; każda zbaczając z kursu. Wszyscy w dywizjonie zdawali sobie sprawę, że brzmi to nieprzekonywająco. Wszyscy byli skwaszeni.

Tymczasem mała jasnowłosa telegrafistka z pomocniczej służby kobiet lotnictwa już nadawała depesze do dowództwa floty. Nazajutrz zaś inna dziewczyna w mundurze lotniczym położyła na stole adiutanta dywizjonu dwie inne depesze.

Pierwsza z nich nadeszła z dowództwa Grupy Bombowej i donosiła, że wskutek ostatniej wyprawy dywizjonu bardzo poważnie ucierpiały zagony marchwi i pietruszki w okolicy Kassel, lecz stacja kolejowa jak stała, tak stoi ... Druga była tej treści:

"Ostatniej nocy jedna z załóg dywizjonu Mazowieckiego zauważyła u wybrzeży Anglii dwa okręty nieprzyjacielskie i zaraportowała o tym oficerowi wywiadowczemu. Inne załogi tego dywizjonu potwierdziły tę wiadomość. Meldunki te były bardzo cenne dla dowództwa floty. Nasze okręty dzięki nim zdołały na czas przeszkodzić atakowi 25-u ścigaczy niemieckich na konwój brytyjski. Zatoniono 4 ścigacze nieprzyjaciela i prawdopodobnie zatopiono lub uszkodzono jeszcze 7. Wzięto 19-tu jeńców. Wyrażam podziękowanie wszystkim polskim załogom, które przyczyniły się do wykrycia nieprzyjaciela".

Wśród załóg nastąpiło odprężenie. Tylko Gruszka był wściekły: "Latające Fortece" tegoż dnia zrównały z ziemią stację kolejową w Kassel.

Bombardowania marchewki nie można już było naprawić ...

PORUCZNIK HERBERT

Poradnik żołnierski

Kpr. Witold S.

Rozgoryczenie Pana tłumacząc sobie długotrwałym pobytom w szpitalu. Proszę mi wierzyć, że nie ma Pan racji w swych zarzutach. Nie jesteśmy u siebie i stąd wiele niedomagań. Polskie Władze Wojskowe jak tylko mogły najwcześniej, uzyskały od Władz Brytyjskich zapewnienie, że ranny żołnierz polski przebywający w szpitalu brytyjskim będzie traktowany tak samo, jak i brytyjski. W sprawie tej wyszło parę zarządzeń War Office. Każdy polski ranny żołnierz, nawet, gdy mu zaginęły dowody osobiste i t.zw. Pay Book ma prawo do zaliczki na uposażenie /oficerowie/ czy żołd /szeregowi/. Zaliczki te wypłaca szpital. Przysługują Panu rację, że czasami trzeba się o te zaliczki upomnieć. Wszystkie zaliczki wypłacane przez szpital idą na rachunek Polskich Sił Zbrojnych i będą potrącone przy wy-

placie zaległego żołdu, czy uposażenia.

Sierżant M. W.

Dopóki nie zostanie Pan przez komisję lekarską uznany oficjalnie za niezdolnego do dalszej służby i nie dostanie Pan dokumentów cywilnych, jest Pan żołnierzem w czynnej służbie i korzysta ze wszystkich praw przysługujących żołnierzowi. Do czasu kompletnego wyleczenia, nie ma mowy o powoływaniu Pana na komisję. Zapewniam Pana, że kolega, który przyniósł te "niepokojące wieści", był źle poinformowany. Fakt, że stracił Pan nogę, nie zmienia prawnego stanu rzeczy. Zaliczka na żołd należy się Panu i proszę się niezwłocznie o nią upomnieć. W sprawie rodziny zasięgnę informacji i powiadomię Pana osobnym listem.

Szer. Kazimierz O.

Jeszcze nikt nie opuścił szpitala bez ubrania. Jeśli Pan leży w łóżku, battle-dress nie jest Panu potrzebny. O ile lekarz zdecydował, że może Pan wychodzić z budynku szpitalnego, wydają Panu battle-dress na rachunek Polskich Sił Zbrojnych. To samo dotyczy innych części umundurowania i bielizny. Naturalnie trzeba się o to upomnieć. Korzysta Pan w szpitalu z tych samych praw, jakie przysługują żołnierzom brytyjskim. Między polskimi władzami wojskowymi a brytyjskimi istnieją w tej sprawie umowy. Niech się Pan nie obawia, to nie żadna "łaska", której Pan nie chce — to się Panu należy i ma Pan prawo żądać. Za wszystko, co Pan dostanie w szpitalu zapłać polskie władze wojskowe. Życze Panu szybkiego powrotu do zdrowia. Dziękuję za miłe słowa pod adresem "Polski Walczącej".

Sprawy polskie w książkach angielskich

ROSJA I "STREFA ŚRODKOWA"

Bernard Newman, autor m.in. dwóch książek o Polsce, *"Pedalling Poland"* i *"The Story of Poland"*, ogłosił pracę *"Balkan Background /Tło bałkańskie/"*,* w którym omawia stosunki na półwyspie bałkańskim i ukazuje dążenia państw tamtejszych.

Newman jest zwolennikiem idei związku /federacji/ państw bałkańskich oraz Polski, Czechosłowacji i Węgier /tzw. *Middle Zone* — strefa środkowa/, idei najmocniej popieranej w prasie brytyjskiej przez F. A. Voigta i Douglasa Reeda. Początkowo rządy brytyjski i amerykański odnosiły się życzliwie do wszelkich projektów federacyjnych, błogosławiąc porozumieniu polsko-czechosłowackiemu i jugosłowiańsko-greckiemu.

Ale Rosja jest wroga idei federacji: komuniści uważają ją za nową *"cordon sanitaire"* wymierzony przeciwko Sowietom w oparciu na "baronach faszystowskich". Szczególnie ostro zaatakowano trzy organizacje popierające ideę federacji: *Danubian Club*, *Middle Zone Commonwealth Association* oraz komitet amerykański, mimo że *Danubian Club* jest latoroślą *Fabian Society* a komitet amerykański składa się w szerokiej mierze z przedstawicieli socjalistów i chłopów. "Lecz historia uczy, że komuniści atakowali ideę demokratyczno-socjalistyczne równie konsekwentnie, a czasami z większym ferworem, niż doktryny konserwatywne". Tygodnik sowiecki "Wojna i Raboczy Klas" zjadliwie nazywał ideę *Middle Zone* "polską zasłoną dla faszystów i quislingów". Nie trzeba brać opinii tego tygodnika zbyt poważnie — zaznacza Newman. Nawet taki "wielki przyjaciel Rosji", jak Eden, rozprawił się z wypowiedzianym tam twierdzeniem, że do czasu ataku Niemiec na Rosję, robotnik angielski nie miał serca do wojny, i dodał, że "ktoś, kto w to wierzy, będzie wierzył we wszystko".

Tak czy inaczej, należy się liczyć z faktem, że Rosja nie chce federacji środkowo-europejskiej. Pewne koła brytyjskie unikają obecnie wszelkich drażliwych rozpraw z obawą urażenia Rosji. "Jest rzeczą godną uwagi, że ten czy inny mówca albo pisarz może jak najkrytyczniej ustosunkować się do Polaków, Czechów czy nawet Amerykanów — a na pewno Brytyjczyków! — ale jeżeli wypowie słowo, które może być uznane za krytykę Rosji lub polityki rosyjskiej, wówczas spada nań lawina

* *Balkan Background*. By Bernard Newman. Londyn, Robert Hale, 1944; str. 288 i tabl.11.

protestów i zniewag — nie ze strony Rosjan, ale Brytyjczyków". A tymczasem w interesie zarówno Rosji, jak Wielkiej Brytanii leży jasne postawienie pewnych spraw. Do tych spraw należy sprawa federacji.

Tu Newman daje rodzaj ogólnego ujęcia poglądów, które często spotyka się na Bałkanach. Bałkany — pisze Newman — dają do obalenia przemocy Niemiec, ale nie po to, by Niemcy zastąpiła Rosja. Bałkany z zapalem przyjęły podpisanie przez Rosję "Karty Atlantycznej", ale tym więcej były zaniepokojone, że o tej "Karcie Atlantycznej" nie wspomniano w uchwałach konferencji moskiewskiej. W związku z art. 6 oświadczenia moskiewskiego, należy sobie postawić jasno pytanie: "czy granice z r. 1938 zadowolą Rosjan, czy też domagają się oni granic narzuconych /seized/ przez nich w r. 1939 i 1940?"

Gdy po pakcie z Niemcami Rosja zabezpieczała sobie przedpole strategiczne kosztem małych państw, można było jej stanowisko zrozumieć, jeśli się nawet nie pochwalało sposobów. Gdy n.p. chodzi o Polskę, "musimy się zgodzić z tym, że jeśli Rosjanie nie weszli do niej, Niemcy zagarnęliby cały kraj. Można dowiedzieć, że tkwiła w tym dostateczna /justifiable/ podstawa do posunięcia rosyjskiego. Ale czy tkwi w tym dostateczna podstawa do stałej okupacji rosyjskiej? Rzecz prosta, wiemy dobrze, że znaczna ilość Ukraińców i Białorusinów mieszkała w Polsce a mniejsza ilość Polaków w Rosji. Ale czy to zagadnienie ma zostać rozstrzygnięte w drodze dyskusji czy też przy pomocy siły?" To samo dotyczy się państw bałtyckich. Słowem, chodzi o to, że nabytki Rosji z r. 1939 i 1940 nie są zgodne z duchem "Karty Atlantycznej".

Wracając do sprawy Polski wschodniej, powstaje pytanie, czy Rosja nie zamierza użyć jej jako odcieczki do pochłonięcia całej Polski, podobnie jak Niemcy uczyniły z Czechosłowacją po zabranu Sudetów? Rosja zapowiada, że chce silnej i przyjaznej Polski. Ale "przyjaźń nie może być narzucona", trudno zresztą przypuszczać, aby Polacy zachowali przyjazne uczucia dla Rosji, jeśli zabierze ona połowę ich terytorium. "A gdy nie będą one przyjazne, co się stanie z kadłubem kraju, jeśli Rosja nastaje na przyjazne sąsiedztwo? /Przypomnijcie sobie, że Niemcy nastawały na przyjazną Czechosłowację, jako na ich sąsiadkę/. Jeśli Rosja życzy sobie przyjaznej Polski, może ją mieć jutro, gdy ponownie stwierdzi, że pakt Hitler — Stalin z r. 1939 oraz wszystkie jego następstwa wygasły /are dead/ i że wszelkie zmiany granicy polsko-ro-

syjskiej będą dokonane za wspólną zgodą".

Stosunek Rosji do Polski można porównać ze stosunkiem Stanów Zjednoczonych do Meksyku. W czasach kiedy carat uciskał Polskę przy pomocy nacisku gospodarczego /"dollar diplomacy"/. Po pewnym czasie metody te porzucono, zastępując je rzeczywistymi dobrymi stosunkami sąsiedzkimi. Było to nie tylko w zgodzie z moralnością, ale i opłaciło się także.

"COMMUNAZISM"

Sycylijszy G. A. Borgese, profesor literatury niemieckiej na uniwersytetach w Rzymie i w Mediolanie, za czasów premierstwa Orlanda szef propagandy i prasy — opuścił Włochy w r. 1931 jako przeciwnik faszyzmu. Obecnie jest profesorem literatury włoskiej na uniwersytecie w Chicago. Niedawno wydana książka jego p.t. *"Common Cause /Wspólna sprawa/"** składa się z szeregu szkiców, poświęconych najaktualniejszym zagadnieniom współczesności.

Borgese omawia obszerne zagadnienie sowieckie. Interesują go rozmaite strony komunizmu, interesują go przede wszystkim narodziny w sierpniu 1939 r. "communazizmu"; listę ofiar "communazizmu" rozpoczyna Warszawa, "bastion cywilizacji zachodniej" — jak ją nazywa. W tym dniu "na drodze faszyzmu czerwone ręce rozświetliły zielony sygnał: Polska, nie ciesząca się łaskami żadnego z kontrahentów, pierwsza została zdeptana; potem inni..."

Borgese rozważa przyczyny tego kroku Rosji sowieckiej, szuka okoliczności łagodzących, posuwa się nawet do twierdzenia, że ani Francja ani Wielka Brytania na jesieni 1939 r. nie dążyły szczerze do porozumienia z Rosją. "Kaliopie na pewno ma coś do powiedzenia o Polsce z jej Beckami i baronami. Na pewno nie zapomniła, o czym każdy z nas pamięta bez pomocy Muzy, że państwa bałtyckie były stworzone bardziej jako przedmurze przeciwko rewolucyjnej Rosji niż jako relikwiarze demokratycznego samookreślenia. Wreszcie nie ukryło się przed jej oczami, że nie wszystko co świeciło się w Finlandii, było złotem". Ale tak czy inaczej, nie zmienia to przynębiającego obrazu Rosji, "wielkiej Rosji, skradającej się po łup kosztowną sasiada, gdy jej faszystowski wspólnik zajęty był wspanialszym polowaniem". "Wielkoduszość — pi-

* *Common Cause*, by G. A. Borgese. Londyn, Victor Gollancz, 1944; str. 267 i 1nl.

sał Burke w innych czasach — w polityce nieraz jest najprawdziwszą mądrością... Przekleństwo naszego wieku polega na tym, że idee są tak wielkie a ludzie tacy mali".

"Co! — ciągnie dalej Borgese. — Czy Stalin rzeczywiście wierzył, że gdy Niemcy zmieniają swoje zamiary i uderzą na wschód, pozbawiony znaczenia bufor wschodni Polski i piaszczyste zapory nad Bałtykiem zdołają je powstrzymać? ... Na łeb na szyję wpadł Stalin w zabobon... doskonałego terytorium i granicy strategicznej, w materializm geograficzny, z mapą, i to z carską mapą, czczoną jak ikona. W czasie kryzysu abisyńskiego Mołotow, przedstawiciel Sowietów, powiedział w Genewie: "Związek sowiecki zadokumentował swoją wierność zasadzie niepodległości politycznej i równości wszystkich państw". Któż teraz na całym świecie, faszystowskim czy zachodnim, będzie tak uprzejmy czy bezstronny, by uznać, że te słowa były w swoim czasie uczciwe? Poza tym Rosjanie nie byli tak wprawni jak państwa zachodnie w maskowaniu swego imperializmu jako obliczonej na długą metę demokracji. Gesty ich były niezręczne".

W tym całym obrocie rzeczy "bardziej uderzająca była głupota dokonanego interesu, niż nikczemność /indignity/ moralna. Zapłacono ceną — jeszcze jedno piórko na kółku faszyzmu, faszyzmu, który jest zawodowym niszczycielem wszystkich ideałów i idealistów — była przekreśleniem aspiracji Rosji do kroczenia na czele wszystkich uciemiężonych, wszystkich "poniżanych i znieważanych". Zapłacono jeszcze jednym załamaniem się wspólnej sprawy. Dostarczonemu towarem była miska soczewicy — zysk złudnej strategii".

"Kiedy przyszło zło, to nie polskie przestrzenie czy bałtycki front wodny powstrzymał Niemców. Wszyscy wiemy, że powstrzymał ich naród rosyjski".

"Communazizm, efemeryczny kudel, padł w pierwszej potyczce".

OPOWIADANIA I ŚPIEW POLAKÓW

William Simpson był dowódcą dywizjonu lotniczego. Samolot jego w maju 1940 r. spadł, paląc się, w Ardenach. Pilota cudem uratowali koledy. Ocalał życie, ale był fatalnie poparzony i poraniony. Półtora roku przebywał w najgorszych warunkach w szpitalach francuskich. W październiku 1941 r. wrócił do Anglii: nogi miał sztywne, całe w bliznach, obie powieki i lewe nozdrze spalone, usta, policzki i czoło pokryte szramami, palce lewej ręki odpa-

dły, z palców prawej ręki pozostały bolesne kikuty. Przyszłość rysowała się w czarnych barwach. Na pomoc przyszedł mu najnowsze osiągnięcia chirurgii plastycznej.

Simpson poświęcił dziejom swego powrotu do zdrowia przejmującą książkę *"The Way of Recovery /Droga odzyskania zdrowia/"*,* która ukazuje nie tylko moc ducha autora ale i cuda medycyny angielskiej.

W czasie swoich wędrówek po różnych szpitalach spotykał się z wielu Polakami. W jednym ze szpitali po raz pierwszy usłyszał śpiew polski. Obecność Polaków zawsze przypominała autorowi straszliwy stan, w jaki Niemcy pogrążyły Europę. "Wielu Polaków walczyło u siebie w domu i we Francji, zanim zdobyli wybitne miejsce w pierwszych szeregach R.A.F'u. Niektórzy z nich byli więźniami i w Niemczech i w Rosji. Mogli opowiadać okropne historie o swoich przeżyciach, ale opowiadali rzadko, bo odczuwali swą beznadziejność, gdy usiłowali opisać nam życie w obozach koncentracyjnych i w obozach dla jeńców. Ale znalazł się ktoś, kto mówił o swoich przeżyciach w Polsce po okupowaniu jej przez Niemców. Było to jedno z najkrótszych opowiadań i jedno z najbardziej przejmujących. Głosem spokojnym i równym, opowiadał prosto i jasno o losach swojej własnej rodziny, swojej narzeczonej i przyjaciół. Była to straszliwa historia, która budziła grozę. Aczkolwiek był pozornie spokojny i doskonale panował nad głosem, przez cały czas, kiedy mówił, widać było, że walczy z głębokim wzruszeniem".

Wprawdzie Polacy nie byli fachowymi śpiewakami, ale ilekroć pod koniec koncertu danego w szpitalu gromadziła się dokoła fortepianu, aby zaśpiewać chórem, koncert automatycznie przedłużał się o pół godziny. Śpiewali polski i brytyjski hymn narodowy, śpiewali piosenki żołnierskie: "W doskonałej harmonii ujawniali piękno pieśni różnych dzielnic Polski. Oklaski grzmiały jak burza — a trzeba zważyć, że audytorium składało się z Anglików, którzy z tych pieśni nie rozumieli ani słowa. W śpiew wkładali całą swą miłość i tęsknotę do kraju — kraju syconego troską, nigdy wolnego od wojny i od walki".

Autor zwierza się, że zawsze starał się być blisko kiedy grupa Polaków zbierała się dokoła fortepianu.

SCRUTATOR

* *The Way of Recovery*. By Squadron-Leader William Simpson, D.F.C. Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 164 i tabl.1.

ROMANTYCY I REALIŚCI

Szanowny Panie Redaktorze, Wiem, że my, Polacy, jesteśmy bardzo wrażliwi na to, co obcy o nas mówią. Czasem nawet zbyt się tym przejmujemy. Nie dobrze jest być zarozumiałym. Ale równie nie jest dobrze przyjmować to wszystko, co mówią o nas obcy, za słuszne.

W ostatniej debacie parlamentu nad decyzjami krymskimi m.i. zrobiono nam zarzut, że jesteśmy ultraromantyczni, że wciąż powołujemy się na przeszłość, zamiast patrzeć w przyszłość, oraz że przy naszym bohaterstwie wykazujemy zupełny brak zdolności państwowo-twórczych /"for statesmanship they have shown very little aptitude"/.

Obawiam się, że wielu z nas weźmie to zarzut do serca — i że przez to do naszych ciężkich trosk dołączy się jeszcze przykre poczucie naszej małości, naszej nieumiejętności rządzenia się, i t.d. i t.d. Obojętnie jestem zdania, że nie jest aż tak źle i, chcąc podnieść moich kolegów na duchu, kreślę tych parę uwag.

Twierdząc, że nie jesteśmy tak ultraromantyczni, że przeciwnie, daliśmy wiele dowodów zarówno najczystszej realizmu, jak i *statesmanship'u*, umiejętności życia w wolnym państwie. Zacznę od Traktatu Wersalskiego.

Domagaliśmy się: Śląska, Gdańska, części Prus Wschodnich, wyrównań uzasadnionych względami narodowościowymi na naszej zachodniej granicy. Argumentowaliśmy m.i. i w ten sposób, że wzmocni to naszą pozycję, a osłabi Niemcy, a więc utrudni im przygotowanie się do nowej wojny. Wiadomo, że jeden z mężów stanu tamtej epoki uparcie odrzucał nasze żądania, wbrew zresztą stanowisku Francji, aż postawił na swoim. Dziś wszyscy uznają, że słusznie i sprawiedliwie należało się Polsce tamte ziemie, nikt naszych żądań nie określa jako nierealne lub nieuzasadnione.

Staraliśmy się o kredyty, by odbudować kraj zniszczony po wojnie i zacofany gospodarczo w wyniku celowej polityki zaborców. Kredyty lały się strumieniem... do Niemiec, aż postawili ich na nogi. Nam nie chcieli pomagać. Niemcy za te kredyty uzbroili się, my natomiast walczyliśmy z ogromnymi trudnościami, budując od fundamentów nasz skromny przemysł wojenny.

Staraliśmy się /przy poparciu

Francji/ o wciągnięcie W. Brytanii do gwarancji naszej granicy zachodniej. W. Brytania nie chciała tego zrobić, uważając, że wystarczy jej bezpieczeństwo na Renie /pakt tzw. reński/. W 1939 r., gdy już było pięć przed dwunastą, W. Brytania samorzutnie zawarła z nami traktat, który właściwie był tym, czego nam poprzednio odmawiała.

W 1933 r. po remilitaryzacji Nadrenii przez Hitlera, marszałek Piłsudski proponował Francji i W. Brytanii wojnę zapobiegawczą przeciw Niemcom /Niemcy były jeszcze b. słabo uzbrojone w owym czasie/. Wojna taka uprzedziłaby na pewno wiele obecnych klęsk i nieszczęść, ale propozycja została odrzucona.

W świetle nawet tylko tych faktów nasz "romantyzm" i przewidujący "statesmanship" wygląda inaczej. Natomiast stosując sprawdziany tych, co nam czynią zarzut romantyzmu, trzeba by uznać, że w 1939 r. wykazaliśmy rażąco brak "realizmu", nie idąc w ślady Czechosłowacji i Hachy i nie godząc się na "wspaniałomyślnie" propozycje Führera. Wydaje mi się, że w tym wypadku nasz romantyzm nie został jeszcze potępiony, chyba tylko — przez tegoż Führera. Wybaczymy i rozumiemy tę niekonsekwencję.

Mam wrażenie, że my jesteśmy konsekwentni od początku do końca: bronimy całości kraju, bronimy niepodległości, widzimy rzeczywiste niebezpieczeństwa, szukamy realnych gwarancji, a nie lubimy polegać na ogólnikach o dobrej wierze i dobrej woli oraz na obietnicach przyszłego szczęścia... w żołądku wieloryba.

Jeżeli chodzi o nasze "zapatrzanie się w przeszłość", zamiast patrzenia w przyszłość, to jestem zdania, że nie do pomyślenia jest odrzucenie przeszłości ani w stosunkach prywatno-prawnych, ani w stosunkach publiczno-prawnych, ani też w międzynarodowych. Teraźniejszość nie jest czymś oderwanym, lecz jest właśnie wynikiem i skutkiem przeszłości. Nigdy nie można przekreślić tego, co było, bo nie można przekreślić historii. Zresztą nie tylko my powołujemy się na przeszłość, stylizujemy i w czasie ostatniej debaty argument sięgający o kilka pokoleń

Skrzynka pocztowa

wstecz z czasów carskiej Rosji. Na przeszłości się uczymy, przeszłość daje nam doświadczenia. Przeszłość — to właśnie realizm. A przyszłość — to są marzenia, to jest romantyzm, to są czasem gruski na wierzbie. W pewnych konkretnych wypadkach — znając zbyt dobrze przeszłość, dlatego właśnie bronimy się przed przyszłością.

Obok tego — przecież nauczyliśmy się czegoś: pamiętając dumne słowa premiera W. Brytanii, że nie na to jest premierem Rządu Jego Królewskiej Mości, aby przykładał rękę do rozpadnięcia się Imperium, rząd nasz, wyrażając wolę Narodu, odmówił zgody na przyjęcie decyzji nowego rozbioru. To jest chyba też dowód realizmu z naszej strony.

Więc nie martwmy się zbytnio, że nas mają za "nierealnych romantyków", a nade wszystko sami nie miejmy sobie tego za złe. Wiemy, że los umieścił nas na rubieżach rzymskiej i chrześcijańskiej kultury i że trwamy tam, jak żołnierz kresowy na wiecznie zagrożonej placówce. Ci, którzy wygodnie żyją na dalekich tyłach nie zawsze rozumieją duszę żołnierza walczącego. To jest naturalne i zrozumiałe.

A tym bardziej trudno im zrozumieć nas teraz, gdy my ponieśliśmy tak straszliwe ofiary w każdej dziedzinie i wciąż je jeszcze ponosimy, a oni przecież, pomimo szóstego roku wojny, mają kraj żyjący spokojnym i dostatnim życiem, rodziny ich są bezpieczne, syte i ubrane, nikt nie

dybie na ich wolność i niepodległość i, do tego wszystkiego, siedzą u siebie, na swojej ziemi, a nie kątem u obcych, tak jak my, co nam już czasem niektóre poczytne dzienniki w formie dość osobliwej /według naszych pojęć o dobrych obyczajach/ wytykają. Zresztą i tym wytykaniem nam tego kąta nie martwmy się, bo na ten kąt przecież zarobiliśmy jak najuczciwiej, płacąc co prawda nie guldenami ani frankami, ale krwią i życiem. U nas, na naszej zagrożonej placówce, to jest też obiegowa moneta. Przykro nam, że nie więcej nie mamy, ale zabrali już nam bardzo dużo.

Więc nie wstydzimy się, bo naprawdę nie mamy czego. Zresztą różnie nam trochę teraz, gdy wiemy, że nasz "romantyzm" antykrzymski podziela i inni ludzie, nie naszej krwi, dając temu wyraz nie tylko w uczuciach i szlachetnych słowach, ale i w pięknych czynach.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

Konny Artylerzysta

MIMOWOLNA CZY UMYŚLNA NIEDBAŁOŚĆ?

Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam *"London News"* gdzie na str. 88 przedstawiono "view of Warsaw", na którym figuruje jeszcze cerkiew na pl. Saskim.

Proponuję, aby Pan Redaktor zechciał zaprotestować gdzie należy przeciwko niechlujstwu, jakim niewątpliwie jest podawanie dziś zdjęcia sprzed 20-tu lat i wykorzystywanie tej dawno nieistniejącej "pamiątki" po carskiej Rosji dla propagandy aktualnej.

Inż. Prawdzic-Lazarzski

W SPRAWIE OPIEKI NAD DZIEĆMI POLSKIMI W INDIACH

Do Redakcji "Polski Walczący", Przesyłam serdeczne podziękowanie Redakcji "Polski Walczący" oraz inicjatorom wszczętej, na łamach tego pisma, szlachetnej akcji opiekowania się sierotami polskimi w Indiach, zarówno jak i wszystkim tym osobom, które na apel ten odpowiedziały.

Do chwili obecnej otrzymaliśmy 29 zgłoszeń osób, które pragną kore-

spondować, opiekować się, względnie adoptować polskie sieroty, przebywające w Indiach.

W odpowiedzi na te zgłoszenia na razie tą drogą informujemy, że powiadomiliśmy Ośrodek polskie w Indiach o akcji podjętej przez "Polskę Walczącą" i jesteśmy w trakcie zbierania fotografii, charakterystyk i życiorysów dzieci.

Po uzyskaniu potrzebnych danych, przekażemy je niezwłocznie zainteresowanym osobom.

Delegat MP i OS w Indiach

St. Dudryk-Darlewski

7 Pedder Rd., Bombay.

Bombay, 6.II.45 r.

KONTYNENTALNE STAWKI

Szanowny Panie Redaktorze, W związku ze starannym odnotowywaniem na łamach Pańskiego pisma "Spraw polskich w książkach angielskich" zwracam uwagę na jedną pozycję, ściśle przedstawiającą sprawę polską.

Książka *"Continental Stakes"** napisana przez Holenderkę Odette Keun może być wartościowym podarkiem dla naszych przyjaciół Brytyjczyków. Autorka ze zdumiewającą znajomością rozważa sprawę polityczną, społeczną i rasową narodów związanych z obecną wojną, oraz wyraża dużo rzeczy, które mieszkańcom tej wyspy wydają się niemożliwe.

Dla lepszej orientacji czytelnika podaje dedykację autorki:

"Napisałam tę książkę dla milionów obywateli — mężczyzn, kobiet i dzieci straconych, uwięzionych, deportowanych, torturowanych, umierających z głodu i wysłanych bezprawnie do pracy przymusowej przez wszystkie narody napastnicze i kieruję ją do

Narodu Brytyjskiego, z którym w porównaniu z nimi, wojna obeszła się tak łagodnie!"

Łączę wyrazy szacunku

Stanisław Kowalski

* *Continental Stakes, Marshes of Invasion, Valley of Conquest and Peninsula of Chaos*, by Odette Keun. London, 1944. Copyright by Odette Keun and British Continental Syndicate, Ltd., 1, Cheapside, Fortis Green, N.2.

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

NA DZIECI POLSKIE W INDIACH
Przesyłam 20 sh. na dzieci polskie w Indiach, stosownie do apelu B. Pomiana.
J.K.

NA SZPITAL IM. GEN. SIKORSKIEGO
W załączeniu przesyłam m.o. na sumę £11 /jedenaście funtów/ złożonych przez kpr. Borek z plutonu szkolno — mot. C.W.T. na Szpital im. Gen. Sikorskiego.
Por. J. K. Koch

NA PACZKI OD SERCA
sh. 10 na pomoc rannym w niewoli.
St. szer. St. Chudziński

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w niewoli.
* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order nr. W2/24/305980 i 305989 na sumę £2 z przeznaczeniem na paczki od serca dla jeńców.
Oficerowie S.S.O. Crieff

Inwalidzi i Ranni Żołnierze II. Korpusu
proszeni są o odwrotne podanie pocztą lotniczą obecnych adresów do swoich macierzystych oddziałów. W wypadku zagubienia N-ru poczty polowej, listy należy kierować do: "Sekcja Polowa", Polish Forces, C.M.F. 95 — z określeniem danych, umożliwiających dalsze przesłanie listu.

MONOMARK SERVICE
PERMANENT LONDON ADDRESS
LETTERS REDIRECTED AT ONCE TO ENGLISH OR OVERSEAS ADDRESSES
5/- p.a. Royal Patronage
Write to:
MONOMARK BM/MONO 51, London, W.C.1

Na pomoc Warszawie: £2,987

The Editorial of "Polska Walcząca", on behalf of the Help to Warsaw Fund, is acknowledging with thanks the receipt of £201.8.0.
The above amount was collected by Mrs. M. Bruce, Town and County Councillor, Haddington. We wish to express our deep gratitude for the help and friendship which we value so much.

NA P.C.K.
W załączeniu przesyłam Money Order DT 79047 z dn. 28 ub.m. na sumę funtów 36.5.6 1/2 zebranych na Wystawie Fotograficznej "Through Polish Eyes" w Bristol na P.C.K.
Wystawa w Bristol była 33-a z rzędu a suma składek dosięga sumy 800 funtów.
Łączę wyrazy szacunku i poważania,
Paweł Miller

BIURO GŁÓWNE
POLSKIEJ Y.M.C.A. W LONDYNIE
mieści się obecnie /od 16 bm./ przy
61, EATON PLACE, S.W.1.

WYSTAWA
nowych obrazów i rysunków
FELIKSA TOPOLSKIEGO
otwarta
od 21 lutego do 17 marca 1945 w godzinach: w dnie powszednie od 10 do 16-ej. w niedzielę od 10 do 13-ej
Adres: 147, New Bond Str., W.1.

POSZUKIWANIE
LEONARD POTRAC, urodzony 26.X.1919 w Wielkim Kłinczu, powiat Kościerski, Pomorze, poszukiwany przez Pomarańskiego Edmunda P/76 Polish Forces.

W załączeniu przesyłam "postal order" na sumę £3 sh. 9 z przeznaczeniem na "Pomoc Warszawie". Kwota ta została zebrana i oddana do mej dyspozycji przez Zarząd Główny Koła Opieki nad Żołnierzem.
Beata Obertyńska

W załączeniu przesyłam £1 z prośbą o przekazanie: na fundusz pomocy Warszawie sh. 10, na pomoc rannym w niewoli sh. 10.
St. szer. St. Chudziński

* * *

Dzieci kompletu w Edinburghu składają £3 dla dzieci w Polsce zamiast drobnego upominku dla p. A. Łaskiej, kierowniczki szkół powszechnych i Kursu Korespondencyjnego w związku z jej odejściem z zajmowanego stanowiska.

Przesyłam w załączeniu na prośbę ppor. inż. Mieczysława Sm. money order na £4 na pomoc Warszawie.
Kpt. Na.

* * *

Bezimiennie na pomoc Warszawie sh. 5.
* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £212.12.0 /słownie: dwieście dwadzieścia funtów, dwanaście szylingów/ przekazał mi Polakiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,987.15.7 /słownie: dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt siedem funtów, piętnaście szylingów i siedem pensów/.

OD WYDAWNICTWA
Administracja "Polski Walczącej" zawiadamia, że wskutek całkowitego wyczerpania nakładu nie jest niestety, w stanie uwzględnić nowych zgłoszeń P.P. Abonentów pisma.

W razie uzyskania od władz brytyjskich pozwolenia na zwiększenie nakładu, o co usilnie zabiegamy, nowi P.P. Abonenci będą uwzględniani w kolejności zgłoszeń.

ADMINISTRACJA

POSZUKIWANIE
Ktokolwiek wiedziałby coś o pani Marii Wierzyńskiej, wywiezionej ze Lwowa w maju 1941 r. w głąb Rosji, proszony jest o przesłanie wiadomości pod adresem: Kazimierz Wierzyński, 101-07 Ascan Ave., Forest Hills, N.Y., U.S.A.

OGŁOSZENIE

Ministerstwo WR. i OP. zamierza uruchomić w początkach maja b.r. Szkołę Rolniczą przy West of Scotland College of Agriculture w Glasgowie. Czas trwania nauki /1 rok/ będzie podzielony na 2 Kursy teoretyczne po 3 miesiące każdy: I Kurs od maja do lipca b.r., II Kurs od stycznia do marca 1946 r. Okres między dwoma Kursami będzie przeznaczony na zorganizowane praktyki rolne.

Część lekcji z przedmiotów zawodowych będzie prowadzona w języku angielskim przez profesorów West of Scotland College of Agriculture. Na wszystkich lekcjach, prowadzonych w języku angielskim, będzie obecny polski instruktor — tłumacz. Zajęcia praktyczne w czasie nauki teoretycznej będą prowadzone na Stacji Doświadczalnej West of Scotland College of Agriculture.

Warunki przyjęcia:
1/ ukończenie 6 klas Szkoły Powzecznej, 2/ 2-letnia praktyka rolnicza, 3/ ukończony 20-ty a nie przekroczony 30-ty rok życia, 4/ conajmniej mierne opanowanie języka angielskiego, ze względu na lekcje prowadzone w jęz. angielskim, oraz ze względu na zajęcia praktyczne i praktykę, 5/ egzamin sprawdzający z przedmiotów ogólnokształcących, 6/ nienaganna opinia.

Inwalidzi W.P., zdolni do pracy na roli mają pierwszeństwo.

Podania o przyjęcie do szkoły należy nadsyłać najpóźniej do dnia 31 marca b.r. pod adresem Kierownika Szkoły: inż. Henryk Przyborski — 31, St. Vincent Crescent, Glasgow.

Do podania należy załączyć własnoręcznie napisany życiorys.

POSZUKIWANIE

Anna Zajac poszukuje męża swego ZAJAC MIROSLAWA, ur. 1916 r. w Hodynich /Rudniki/ koło Lwowa, syn Jana i Marii. Wiadomości proszę kierować do redakcji "Polski Walczącej".

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

W GARDEROBIE PREMIERA



Lokaj: — Teraz to nasz premier czapkami nakryje Europę ...

PO PIĘCIU LATACH NAUKI ANIELSKIEGO

—Panie kapitanie, dlaczego pan sobie nie otworzył konta w banku? Ma pan sobie książeczkę czekową i tylko wpisuje pan kwoty ...
—Eee, za dużo z tym kłopotu!
—Jaki kłopot?!!
—Ano to wypisywanie słowami ... Jeszcze cyfry to pół biedy ...

ROZMOWA ŻOŁNIERZA Z I DYWIZJI Z LONDYŃSKIM KOLEGĄ

—My przynajmniej walczyliśmy wy co robicie?
—My też walczyliśmy!
—O co?
—O dodatek ...

MIEDZY DZIENNIKARZAMI

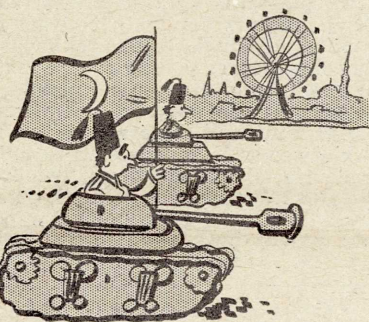
—Wie pan, ten Kossak to wspinał batalista!
—Ma pan na myśli Juliusza, czy Wojciecha?
—Nie, Stefana! No tego batalistę wojennego z P.A.T-a ...

PO AWANSACH



—Dlaczego tyłu Polaków tu stoi?
—Czekają na gwiazdki ...

PO PRZYSTĄPIENIU TURCJI DO WOJNY



W niedalekiej przyszłości ... Turcy pod Wiedniem ...

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie ...
1/ co to jest "pięta Achillesa"?
2/ kto to był Tartuffe?
3/ skąd się biorą bańki w wodzie sodowej?
/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika/

Pewien pilot amerykański napisał list do matki swego przyjaciela, który zginął podczas wyprawy bojowej. List tak piękny w swej prostocie, że niemal cała prasa amerykańska go cytowała. "Droga Pani! Niechaj pocieszy Cię myśl, że każdy z nas musi kiedyś umrzeć, ale nie każdemu jest dane umrzeć za coś".

Odpowiedzi:
1/ Achilles jest bohaterem eposu greckiego "Iliada". Matka, Achillesa, Thetis trzymając go za piętę zanurzyła go w rzece Styx i przez to za-

UŁATWIENIE ...

W biurze wojskowym szef nadaje fonogram:
—... powtarzam miejscowość — Coupar, tak jak Cupar! ...
—... że jak?
—Wobec tego spelluję: "C" jak cygaro ...
—Figaro???
—Nie! "C" jak cynamon, "y" jak "ydiota", "n" jak Natan ...
—... że jak??? Katan?
—Nie Katan, tylko Natan! "N" jak noga, "a" jak anioł, "t" jak tytan ...
—... że jak??? Brytan?
—Tytan!!! "T" jak tuman ...

ROZMOWA Z REDAKTOREM "WERINAJSKA"

—Niech się pan nie gniewa, ale te dowcipy są strasznie naciągane. Przecież jest tyle tematów! ...
—Owszem, są! Jest tylko jedno "ale": Rząd odpada — pan rozumie; Sojusznicy — pan rozumie; dowcipy żydowskie — pan rozumie; kawały chłopskie — pan rozumie; teściowa — pan rozumie; żona — pan rozumie; "Rubens" — pan rozumie; żołnierz — pan rozumie; Rada Narodowa — pan rozumie; Karta Atlantycka — pan rozumie; pornografia — pan rozumie; duchowieństwo — pan rozumie! ... Właściwie co pozostaje?!

—Guzik! ...
—Ooo!!! Trafił pan, ale to znowu wulgarność! Pan rozumie? ...

PRZED AWANSAMI



—Stuchajcie kapral, na kogo tu czekacie?
—Na podporucznika!
—Ktorego?
—Na siebie — aż zaawansuję!

Tekst i rysunki: TONY

Polscy Spadochroniarze, pozostający w szpitalach, domach wypoczynkowych, domach inwalidów itd., zechcą niezwłocznie podać swe aktualne adresy i bliższe dane o sobie pod adresem: Welfare Officer Polish Forces, P/76.

SPIS RZECZY:

Witold Leitgeber: Po debacie. — Marian Walentyńciewicz: Płonący czołg /rysunek/. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Marek Święcicki: Kaczki nie były dziennikarskie. — Maciej Feldhuzen: W obozie zbrojnym we Francji /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Michał Prozor: Dwie ceremonie /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Polska poezja wojenna. Insturekwa kościuszkowska. — Jan Rostworowski: Spotkanie z ochotnikami z Polonii Francuskiej. — Porucznik Herbert: Wyprawa na Kassel. — Poradnik żołnierski. — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Tony: Werinajsek. — Na pomoc Warszawie. — Fotografie.

ORBIS (London) CO.
— dawniej M. I. KOLIN (Publishers) Ltd.
KSIEGARNIE POLSKIE
w LONDYNIE: 9, NEW OXFORD STREET, W.C.1.
Tel.: HOL 0868
w Edynburgu: 31a, CASTLE STREET.
Tel.: 24705
posiadają na składzie wszelkie polskie nowości wydawnicze, książki angielskie dotyczące zagadnień polskich, nuty, podręczniki szkolne oraz dzienniki i czasopisma polskie.

BARWNA MAPA POLSKI
wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17 1/2" x 22 1/2 cali, jest już w sprzedaży.
Cena 2/6
Cena 2/6
Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.
Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, pod adresem Kiosku.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

"POLISH TROOPS IN ITALY"

Biblioteka Walczącej Polski pod redakcją Wacława Śledzińskiego wydała publikację w języku angielskim p.t.: "POLISH TROOPS IN ITALY" pobra Mariana Czuchnowskiego. Tematem tej pracy są dzieje i walki II Korpusu polskiego. Broszura ilustrowana jest 19 fotografiami. Cena egzemplarza 2/6.

Ta sama praca wydana została poprzednio w języku polskim p.t.: "Z ziemi włoskiej do Polski".